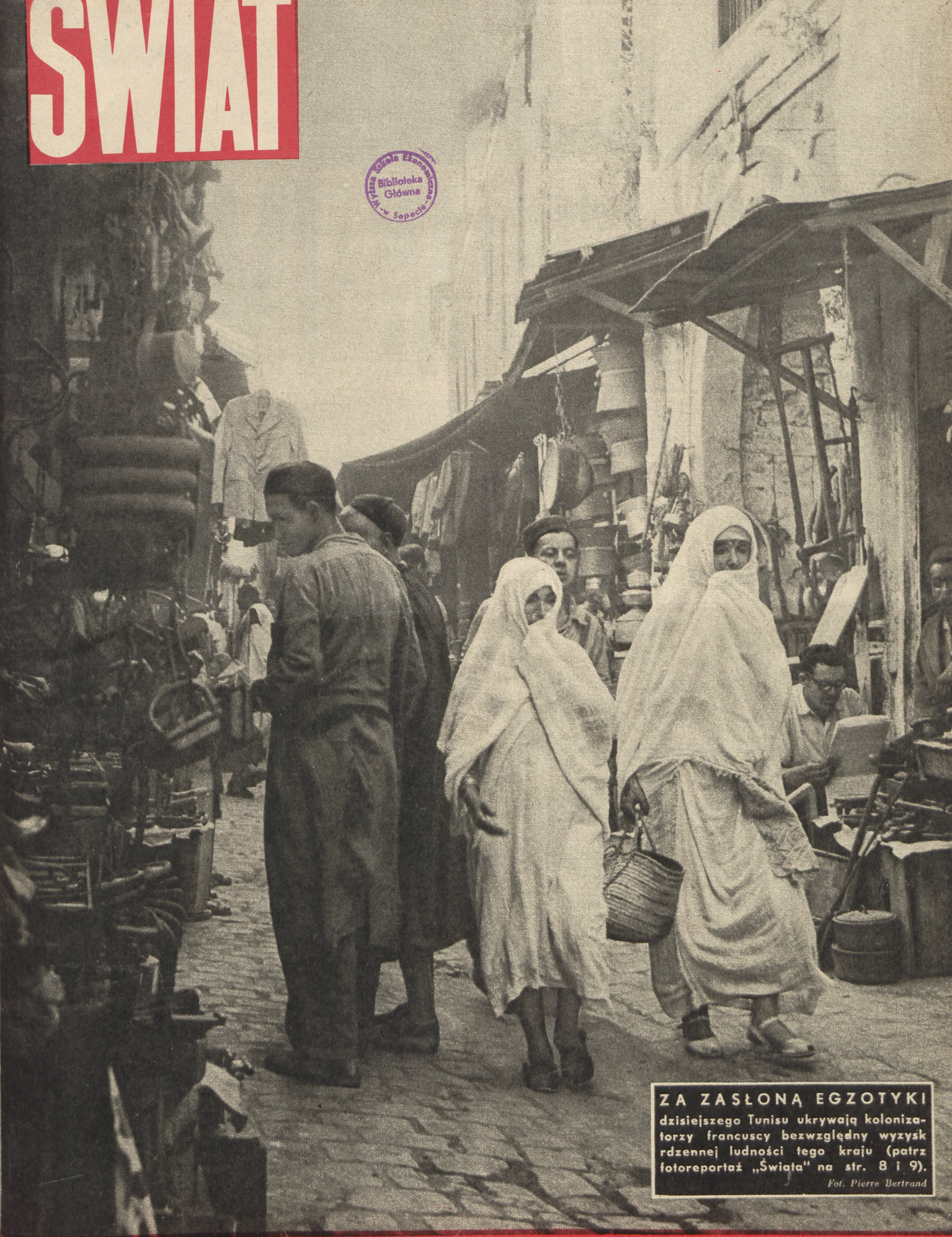




ZA ZASŁONĄ EGZOTYKI
dzisiejszego Tunisu ukrywają kolonizatorzy francuscy bezwzględny wyzysk rdzennej ludności tego kraju (patrz fotoreportaż „Świata” na str. 8 i 9).

Fot. Pierre Bertrand

Z DOŚĆ dużą przykrością przeczytałem w niedzielnym „Życiu Warszawy” artykuł Jacka Wołowskiego o pracy warszawskiej milicji. Inaczej i właściwie mówiąc: artykuł o bezsilności warszawskiej milicji. Z artykułu tego dowiedzieliśmy się, dlaczego to milicja nasza działa tak ślamazarnie, niemrawo, gdy chodzi o tak liczne, niestety, przejawy chuligaństwa.

Wołowski obserwował z bliska pracę jednego z komisariatów stołecznej milicji. Z jego relacji wygląda ta praca tak, że jeśli jednocześnie zostaną wywołane na terenie miasta, objętym opieką komisariatu dwie awantury, to milicja może działać w jednym tylko wypadku. Jeśli interweniuje na Bugaju, to pozostawia wolną rękę chuliganom na Mazowieckiej. Jeśli interweniuje na Mazowieckiej, łobuzy robią co chcą na Bugaju.

Zresztą i ta jedna interwencja jest przeważnie nieskuteczna i spóźniona. Bo oto — jak się dowiadujemy od Wołowskiego ku wielkiemu naszemu zdumieniu — milicjant wezwany na miejsce awantury, a może i zbrodni, udaje się tam pieszo, komisariat bowiem nie rozporządza żadnym środkiem lokomocji.

Cokolwiek byśmy mogli powiedzieć o źródłach, przyczynach i sposobach zwalczania chuligaństwa, to na podstawie relacji Wołowskiego stwierdzić można niewątpliwie jedno: w tym zakresie władza nasza nie wypełnia swych obowiązków. Jest to przykra prawda, ale prawda, i jako prawda na pewno lepsza od wszelkiego gadania o konieczności wychowywania chuliganów, o roli ZMP, szkoły, rodziny itp. W sprawie chuligaństwa musimy stosować te same metody, które stosujemy w zwalczaniu wszelkich innych przestępstw i antyspołecznych wybryków. W zakresie złodziejstw wszelkiego rodzaju, bandytyzmu, oszustw, mawersacji itd. zwalczamy jednocześnie przyczyny i skutki.

W IEMY, że zasadnicza zmiana stosunków gospodarczych i społecznych, zmiana warunków bytu ludzkiego, wychowanie nowego człowieka, danie mu wszelkich możliwości pracy, życia i rozwoju, sprzyja likwidacji przestępczości. Czy to jednak znaczy, że mamy chwilowo pobyłać wszelkim mordercom, bandytom i złodziejom w oczekiwaniu na automatyczne działanie przemian ustrojowych? Oczywiście, że nie.

Podobnie i w sprawie chuligaństwa, zaczynającego się nieraz niewinnie, a kończącego się jakże często zwykłą zbrodnią. Wychowanie wychowaniem, ZMP swoją drogą, i szkoła i rodzina także, a na ulicach naszych miast i wsi, w naszych lokalach musi zapanować spokój, muszą zapanować stosunki godne cywilizowanego społeczeństwa.

I tutaj musi wystąpić milicja. W odpowiedniej liczbie, szybko

działająca, operująca sprawnie systemem dziu-dziusu, nosząca nie tylko rękawiczki, ale i jakąś operatywną broń, przy pomocy której będzie mogła karcnąć na miejscu wszelkie wybryki, mogąca skutecznie reprezentować władzę.

Nie bójmy się pałki w ręku milicjanta. Niech się jej boją chuligani i łobuzy.

UCHWALA Rady Państwa o utworzeniu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego przy Radzie Ministrów, jak również w sprawie poddania milicji nadzorowi i kontroli rad narodowych — stanowi ważny krok naprzód w rozwoju praw obywatelskich, zagwarantowanych przez konstytucję. To podstawowe prawo państwa ludowego: zapewnienie obywatelom ochrony życia, mienia, spokoju i sprawiedliwości. W rezultacie cała działalność władz bezpieczeństwa jak i milicji, ich walka z wrogami Polski Ludowej, z dywersantami i sabotażystami, jak i z mącicielami spokoju publicznego — to ta sama walka, prowadzona w interesie obywatela.

Istotą państwa ludowego bowiem jest likwidacja wszelkich sprzeczności między interesami państwa i interesami obywatela. I dlatego właśnie nie ma żadnego w państwie organu władzy, który by mógł czy miał jakieś wyjątkowe pozwolenie na łamanie prawa. Nie ma w państwie i nie może być żadnych celów, do których trzeba dochodzić poprzez łamanie prawa, poprzez łamanie w szczególności praw obywatela. Słuszność i celowość wystąpień władzy, wystąpień — gdy zachodzi potrzeba najbardziej ostrych — znajdują zawsze tylko poparcie i przychylną obywateli. Gdy odwrotnie — wszelkie nadużywanie prawa znajdzie tylko potępienie.

Gdy milicjant wystąpi zdecydowanie przeciwko chuliganowi, gdy znajdzie się w porę na miejscu wypadku, gdy ochroni przed brutalnością kobietę, dziecko, czy innego przechodnia, zyska nie tylko dla siebie samego, ale i dla całej milicji, dla całej władzy, którą reprezentuje, szacunek i przywiązanie. Idę jeszcze dalej: wiele się mówi i pisze o sprawie występowania obywateli przeciwko chuliganstwu. Wydaje mi się, że energiczna akcja milicji spowoduje wystąpienia obywateli przeciwko chuliganom. Nie wymagajmy od ludzi, by gasili pożar, gdy straż ogniowa stoi z założonymi rękami.

U źródeł aktywności społecznej obywateli leży również właściwe postępowanie wszystkich organów władzy na wszystkich szczeblach i we wszystkich dziedzinach. Władza i obywatel — to dwa czynniki, których zespolenie się ze sobą, których współdziałanie, zgodne i harmonijne, stanowią decydujący element rozwoju naszego życia.

JAN SZELAĞ



Przemówienie wygłasza Louis Sallant — sekretarz generalny SFZZ. Delegaci Zw. Zaw. Chińskiej Republiki Ludowej z zainteresowaniem słuchają referatu.

W IMIENIU



Po wysłuchaniu tekstu apelu Rady Generalnej SFZZ na sali zrywa się burzliwa owacja. Związkowcy, stojąc — długo manifestują pełne poparcie dla apelu.



Przewodniczący Światowej Federacji Związków Zawodowych, di Vittorio, w rozmowie z członkami Prezydium. Na lewo: Leonid Solowiew, w-przewodniczący WCPSPS



Przedstawiciele Związków Zawodowych Austrii na sali obrad w Warszawie.



Delegaci z Wietnamu z napięciem śledzą przebieg sesji Rady Generalnej SFZZ.



Przy jednym stole obradują przedstawiciele z Holandii i Czechosłowacji.



Przedstawiciel Związków japońskich mówił o walce przeciw remilitaryzacji.

80 MILIONÓW

W GWATEMALI aresztowano tysiące robotników, zniesiono konstytucję republiki, odebrano chłopom ziemię. Na Kubie dyktator Fulgencio Batista więzi postępowych działaczy związkowych, siłą i terrorem wprowadza na ich miejsce oddanych sobie ludzi. Na Cyprze komorne w porównaniu z rokiem 1950 wzrosło o 67%. Robotnicy indonezyjscy domagają się dodatku drożyznianego, gdyż ceny eksportowe podstawowego surowca — kauczuku indonezyjskiego — zniżono z 75 centów amerykańskich na 25 centów za funt, przy równoczesnej wyższej cen importowanych artykułów żywnościowych. W Niemczech zachodnich ponad 5 mln. robotników i pracowników umysłowych walczy o podwyżkę płac.

Jesteśmy w Warszawie, ale podczas kilkudniowych obrad Rady Generalnej SFZZ bierzemy prawie że osobisty udział w życiu robotników całego świata, dzielimy ich walkę, trud i zwycięstwa.

Przedstawiciele związkowców z 40 krajów, reprezentanci 80 milionów ludzi pracy, radzili w naszej stolicy nad wprowadzeniem nowych, dostosowanych do sytuacji politycznej i społecznej poszczególnych krajów — form walki nad właściwym kierowaniem ruchem związkowym, nad opracowaniem i ogłoszeniem Karty Praw Związkowych Ludzi Pracy.

Różne są języki i różne są problemy poruszane przez delegatów z Japonii, Hondurasu czy Mongolskiej Republiki

Ludowej. Ale w każdym z kilkudziesięciu głosów w dyskusji, w każdym referacie przebija jeden i ten sam motyw — dobro klasy robotniczej, które jest organicznie i nierozdzielnie związane z walką o pokój. Cały świat, robotnicy z dalekiego Chile, Indonezji czy Kamerunu tak samo jak my, nie chcą dopuścić do powstania nowego zarzewia wojny, występują przeciw układom londyńskim i paryskim.

Mówią o tym najlepiej słowa apelu Rady Generalnej SFZZ skierowanego do ludzi pracy całego świata:

„Pamiętajcie o poległych, o miastach zburzonych przez bombardowania, o celach tortur, piecach krematoriów. Nie pozwólcie, by znów uzbrojono katów i dano im w ręce broń atomową. Nie pozwólcie, aby Wasze życie i życie Waszych bliskich, los bogactw materialnych i skarbów kultury europejskiej znalazł się w rękach niemieckich militarystów, którzy popełnili tyle zbrodni przeciwko ludzkości...

Wszystkie państwa, niezależnie od ich ustroju społecznego, mogą żyć w pokoju. Walczcie o pokojowe współistnienie wszystkich narodów. Pokojowe współistnienie otworzy bowiem drogę do rozbrojenia i zmniejszenia ciężarów zbrojeń. Współistnienie to umożliwi rozwój ekonomiczny i społeczny oraz poprawę warunków bytu wszystkich narodów. W obliczu niebezpieczeństwa militarystów niemieckich żądacie stworzenia systemu zbiorowego bezpieczeństwa w Europie — jedynej prawdziwej gwarancji niezależności narodów. Domagajcie się swobodnej współpracy ekonomicznej pomiędzy Wschodem i Zachodem“.



Delegat kolejarzy chińskich, Liu Dui-ba, w rozmowie z towarzyszami



Na sesję Rady Generalnej przyjechali również związkowcy z Iranu



Z dziennikarzami rozmawia delegat francuski — G. Monmousseau



W czasie przerwy rozmawiają delegaci albańscy, bułgarscy i koreańscy



W prezydium sesji Rady Generalnej SFZZ zasiędl obok siebie — przewodniczący Konfederacji Pracy Ameryki Łacińskiej Lombardo Toledano, wiceprzewodniczący Konfederacji Kuby Larazo Pena i przedstawiciel Afryki Abdul Dolo.

WYSTAWA POLSKIEJ FOTOGRAFIKI



James Dunlop

Na uniwersytecie murzyńskim Harward w Waszyngtonie otwarta została niedawno wystawa polskiej fotografii. Była to pierwsza tego rodzaju wystawa w USA od czasu wojny. Zawierała ona prace 82 członków Polskiego Związku Fotografików. Na zdjęciu: zwiedzanie wystawy.

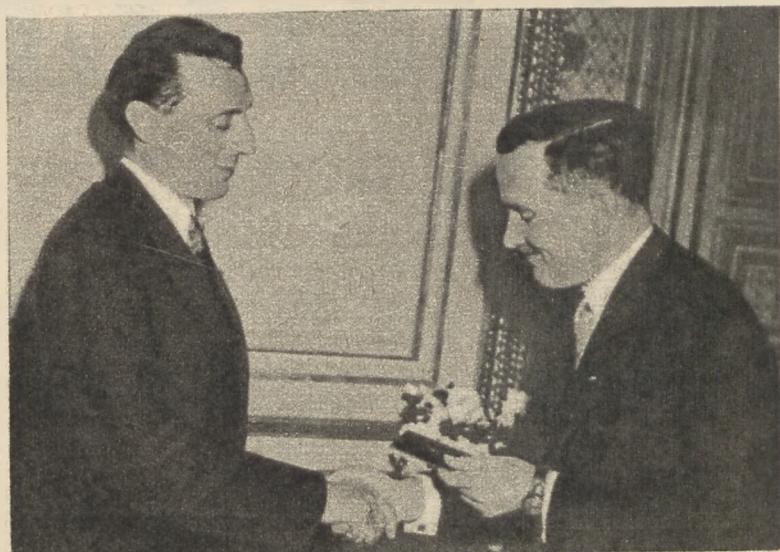
PREMIER BURMY W CHINACH



Pol. Hsinhua

W pierwszej połowie grudnia odwiedził Chiny premier Burmy U Nu. Wizyta premiera U Nu ma na celu zacieśnienie stosunków między obu krajami. Gościa powitał na lotnisku w Pekinie premier Czou En-lai.

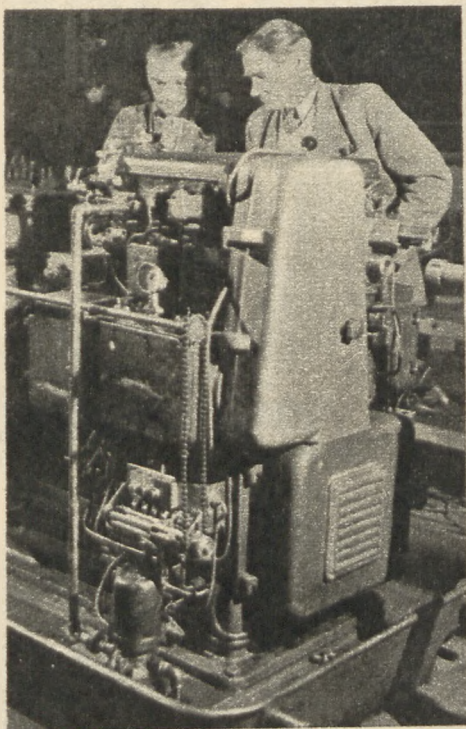
ODZNACZENIE WYBITNEGO UCZONEGO



CAF

Ambasador PRL w Paryżu, S. Gajewski, wręczył 2 bm. order „Sztandaru Pracy” I klasy znanemu uczonemu i jednemu z czołowych bojowników o postęp i pokój między narodami — prof. Joliot-Curie.

NOWA OBRABIARKA



CAF

Inżynier S. Jastrebow jest konstruktorem nowej polskiej obrabiarki AJ-25, zmontowanej w poznańskim ZiSPO.

NA CHOINKI ŚWIĄTECZNE



CAF

Produkowane u nas ozdoby choinkowe zyskały dobrą opinię nie tylko w Polsce, lecz i za granicą. Na zdjęciu: wykończanie zabawek w jednej z gdańskich spółdzielni.

MUZYCY RADZIECCY W ANGLII



„The Sphere”

W związku z miesiącem Przyjaźni Brytyjsko-Radzieckiej w Anglii występowali radzieccy muzycy: kompozytor Aram Chaczaturian i skrzypek Dawid Ojstrach. Podejmował ich m.in. Yehudi Menuhin.

POWÓDŹ W ANGLII



„The Sphere”

Powódzie, spowodowane przez opady i burze o nienotowanej sile, wyrządziły wiele szkód w południowej i zachodniej części Anglii. Oto widok z lotu ptaka na dotknięte powodzią okolice miasta Bath.

TERROR W ALGERZE TRWA



The Illustrated London News

Francuscy kolonizatorzy zdusić chcą wzmożonym terrorem wojskowo-policyjnym wzrastające niezadowolenie narodu algerskiego z polityki wyzysku i siły. Przeciwno patriotom algerskim wysyła się kolumny czołgów. Eskortą policyjną prowadzi kolumnę aresztowanych.



PAWEŁ JASIEŃCZA

KILKA tygodni temu zmarł w Gdańsku profesor tamtejszej Politechniki, dr Michał Broszko. Był on europejską, a nawet światową powagą w zakresie swojej specjalności, hydromechaniki. Przed wojną wykładał w Warszawie. We wrześniu i październiku spędziłem nieco czasu w Gdańsku, gdzie oglądałem pracownie Politechniki. Któregoś poranka przedstawiono mnie profesorowi. Był to zupełnie już niemłody pan, o krzaczastych brwiach i surowym, jak gdyby nawet drapieżnym, a zarazem z lekką ironicznym wyrazie wąskiej twarzy. Opowiedział mi o bieżącej problematyce, wtajemniczył w przedziwne dzieje produkcji turbin wodnych w Polsce, pozwolił obejrzeć swoje — jedyne w kraju — laboratorium. Nazajutrz właśnie miała się odbyć konferencja IV Wydziału PAN — szykowano się do generalnego pokazu urządzeń.

— Proszę przyjść jutro rano, kiedy wszystko będzie już związane na ostatni guzik. Puści się wodę i obejrzy pan sobie wszystko sam i bez przeszkód. Tylko proszę darować, że ja nie będę mógł towarzyszyć — powiedział na pożegnanie.

Kiedy w listopadzie ponownie przyjechałem do Gdańska, już go nie było między żyjącymi.

Profesor Broszko przez czterdzieści lat pracował m. in. nad zjawiskiem tzw. przepływów burzliwych, nad ujęciem go w matematyczne wzory. Ostatnio — jak mi mówiono — dyskusja weszła w zupełnie nowe stadium.

Czterdzieści lat! A czasu zabrakło...

Pomyślimy teraz o tych godzinach, dniach, tygodniach i miesiącach, które uczonego musiał poświęcić na zajęcia nie związane ani z jego specjalnością, ani z koniecznym wypoczynkiem. Za późno, żeby coś naprawić. Ale pomyśleć obowiązkowo trzeba.

W listopadzie oglądałem bardzo rozbudowany Wydział Chemii. Trafiłem też do profesora Zygmunta Ledóchowskiego, do Katedry Technologii Środków Leczniczych. Bez długich wstępów — w laboratoriach tej katedry, podczas prac trwających od 1951 roku, zdołano wyizolować dwie zupełnie dotąd nieznane substancje antybiotyczne. Inaczej mówiąc, wynaleziono dwa antybiotyki, które nieszkodliwie, a zarazem skutecznie, działają przeciwko cholery. Olbrzymim wysiłkiem uzyskano dotąd 50 miligramów owych substancji, co pozwoliło na przeprowadzenie prób „in vitro” (w próbkach szklanych) oraz na małych żyłkach.

Nie chciałbym wywoływać przedwczesnego, aczkolwiek radosnego alarmu. Doświadczenia trwają. Wszystko jednak zdaje się wskazywać, że wynaleziony lek nie będzie szkodliwy dla organizmowi ludzkiemu, a więc przyda się.

Bakterie, które dostarczyły tego leku, wykrył sześć lat temu i „uwięził” w próbkach docent Stefan Kryński, kierownik Katedry Mikrobiologii Akademii Lekarskiej. Człowiekiem, który wyizolował z nich wspomniane antybiotyki, jest mgr inżynier Edward Borowski, wychowanek Gdańskiej Politechniki i terazniejszy kandydat na docenta, liczący sobie obecnie lat — dwadzieścia sześć. Obiecujący młodzieniec, prawda? Skoro prace jego zostaną doprowadzone do szczęśliwego końca, ludzkość otrzyma środki zabezpieczające przed kilku strasznymi chorobami. A ponadto — rozwiną się u nas w kraju gałęzie wytwórczości, jakich nigdzie na świecie jeszcze nie ma.

Tetaina i cereina są pierwszymi antybiotykami wynalezionymi w Polsce. Kto by zadał trud zwiędzenia kilku zakładów naukowych w Polsce dzisiejszej, ten przekonałby się od razu, że wczesny start do pracy odkrywczej jest teraz zjawiskiem częstym. Sam mógłbym wyliczyć wielu naukowców, którzy nie zdążyli jeszcze dojechać do trzydziestki. A przecież w wyprawach reporterskich otarłem się zaledwie o trzy czy cztery gałęzie wiedzy. Można powiedzieć, że najmłodsze pokolenie naszych uczonych ma jeszcze przed sobą sporo, tak mniej więcej jakiegoś półwiecza czasu. Ale z tego nie wynika wniosek, że wolno tym czasem szastać i rozrzutnie gospodarzyć. Wcale nie wynika.

Nie wiadomo do czego potrafi dojść dzisiejszy, ten czy ów, dwudziestokilku-

letni asystent. Jedno jest pewne: starość zastanie go obróconego twarzą ku przyszłości, ku problemom wciąż jeszcze nie rozwiązanych.

W zeszłym roku miałem okazję często rozmawiać z nieżyjącym już profesorem Ludwikiem Hirszfildem. Wszyscy wiedzą, czego w przeciągu bez mała lat pięćdziesięciu dokonał ten wielki uczonego. A jednak — osiągnięcia i w ogóle przeszłość były tym, o czym wspominał przede wszystkim dla objaśnienia mi obecnego stanu rzeczy. Główne jego zainteresowania skierowane były na to, co jeszcze jest do zrobienia. Co krok, co godzina to problem, zagadnienie, pytańnik... Tak zupełnie jakby zaplecze było niczym wobec rozległości przedpiersia.

Czas jest wartością wprost bezcenną dla uczonego. I to zarówno dla takiego, który już przepracował dziesiątki lat i zdobył imię, jak i dla takiego, co stawia dopiero pierwsze kroki jako badacz.

Pamiętając o tym, z ciężkim sercem, wyznaję, słuchałem szczerych zwierzeń naukowców — nie tylko w Gdańsku. Jeden z nich — nie wiedząc, że słowa jego zostaną opublikowane — powiedział mi, iż zdarzają się tygodnie, w których uboczne zajęcia pochłaniają mu osiemdziesiąt pięć procent czasu! Przesadził? Proszę bardzo, odliczmy nawet trzydzieści pięć — jestem uступliwy. Ale pięćdziesiąt procent czasu straconego to także zgroza.

Sprawozdawczość (zaprawdę, aż nadmierna), wszelka papierkowa robota, biurokratyczne ceregiele w sprawach takich czy owakich, zebranie, konferencja, posiedzenie — jedno, drugie, trzecie, dziesiąte... A czas leci, a praca czeka, a dobro publiczne najrychlejszych jej rezultatów wygląda...

Każda zasada czy postulat mają to do siebie, że powinny być interpretowane rozsądnie. Więc jeżeli np. zbiera się Główny Komitet Frontu Narodowego albo Rada Pokoju to przecież nikt w ogóle kwestii nie podnosi. Front Narodowy skupia siły Polaków w tym samym celu, o który walczy nasza nauka: żeby w Polsce było coraz lepiej, coraz więcej postępu, cywilizacji i kultury. Ruch Pokoju przeciwstawia się wojnom napastniczym, a więc katastrofom, które rabują ludziom pracy lata całe, mordują najlepszych, unicestwiają ich dobroć. Współpraca z obu wymienionymi tendencjami społecznymi nie jest żadnym zajęciem ubocznym.

Ale nie istnieje konieczność, dla której nasza ciągle zbyt szczupła kadra naukowców musiałaby trawić czas na rozmaitych dzielnikach, rejonowych tudzież innych zebraniach i zebrankach. Stanowczo lepiej będzie, jeżeli organizatorzy takowych nieco ograniczą swe ambicje. I doprawdy nie warto doprowadzać aż do tego, że profesor musi się tłumaczyć jak niedorostek, brnąć papier, ołówkę i arytmetycznie udawać absolutny brak chwili wolnej.

A teraz — szczerze, otwarcie i bez obłonek — chciałbym porozmawiać o fakcie, który mnie mocno zaniepokoił, a nawet przeraził.

Przychodzę do gabinetu profesora, mężczyzny w sile wieku, na oko zdrowego jak tur. Wyciągam papierosa.

— Nie, dziękuję. Palę dwa dni temu papierosa.

Inny jego kolega, człowiek na pewno poniżej pięćdziesiątki, co rano tak rozplanowuje zajęcia, by jak najbardziej ograniczyć chodzenie po schodach. Nie stanowią oni, niestety, wyjątku. Nie jest też nim miasto Gdańsk. W zeszłym roku kilku wykładowców Politechniki Warszawskiej zmarło na zawał serca. Z tej samej przyczyny rozstał się z życiem profesor Hirszfild.

Specjaliści powiadają, że rozwojowi tej choroby sprzyja nerwowa szarpawina. A mało jest rzeczy równie wyczerpujących sumiennego człowieka, jak nadmiar terminów i spraw do załatwienia. Widok upstrzonego nim notatnika odbiera spokój i sen. Doliczmy zwykle, fizyczne zmęczenie, brak czasu na odpoczynek, lekturę, rozrywkę kulturalną. Pamiętajmy też, że jeśli nawet usuwamy wszelkie zajęcia uboczne, to i tak specjalistów i uczonych czekać będzie praca ogromna, pilna i nad wszelki wyraz wyjątkowa.

Słusznie czynimy zachwycając się postępem na każdym polu, jaki trwa obecnie i wzmaga się w Polsce. Tylko nie zapominajmy o strasliwym zafaniu, w które wtrąciła nas poprzednia epoka. Musimy dokładnie wiedzieć, z jakiej jamy wylazimy chcąc dostać się między najpierwszych. Niech nas o tym pouczy historia turbin parowych, maszyn absolutnie niezbędnych w elektrowniach, nowoczesnych samolotach, statkach, okrętach wojennych itp. itp.

Wynaleziono je w roku 1883/4, w przemyśle użyto po raz pierwszy w roku 1901. Najstarsza w Polsce — zagranicznego rzeczą jasną pochodzenia — pamięta rok 1903 i pracuje po dziś dzień w elektrowni w Przemyśle. A kiedy wybudowaliśmy pierwszą własną turbinę? Uruchomiono ją w Elblągu, w Zakładach im. gen. Karola Świerczewskiego, w dniu 3 września 1953 roku, o godzinie 5 rano. Ile zatem było opóźnień? Dokładnie tyle, ile liczyła sobie cała historia budowy tych maszyn: połowa stulecia z ładnym okładem.

Tęgośmy się spóźnili, ani słowa. I wiele, bardzo wiele milionów zapłacił w przeciągu tego półwiecza zagranicy, która nam dostarczała turbin. Ale za to nasza obecna TP2 jest o trzydzieści kilka procent lepsza od analogicznej szwajcarskiej i idzie tak równo, że dwudziestogroszówkę można na jej obudowie sztorcem postawić.

Skonstruowana została według projektu i pod kierunkiem profesora Roberta Szewalskiego z Gdańskiej Politechniki oraz ekipy jego współpracowników, do której należeli wychowankowie tejże uczelni, dr Stefan Perycz, inżynierowie: Jan Brosz, Jerzy Szczepny, Wojciech Brzozowski, Romuald Świętny-Sowa. W 1953 roku żaden z nich nawet marzyć nie mógł o urlopie. Trzeba było — jeszcze przedtem — wykonać 180 arkuszy rysunków warsztatowych, 120 pomocniczych i zapisać kilka tomów obliczeń. Sam profesor pra-

cował po szesnastu godzin na dobę i w przeciągu roku tylko dwie niedziele miał wolne. Wykłady i ćwiczenia na Politechnice nie doznały uszczerbku.

Z opowiedzianej historii wynika chyba wniosek, że naukowcy nasi czasu nie marnują i że bynajmniej nie stanowią on ich prywatnej, zazdrośnie strzeżonej własności.

Zdarzają się u nas ludzie, którzy rozumują w jakiś bardzo dziwny, czysto formalistyczny sposób. Trzeba koniecznie ciągnąć naukowców do rozmaitych akcji i akcyjek — powiadają — bo w przeciwnym razie grozić im będzie zerwanie kontaktu z życiem kraju oraz zamknięcie się w „wieży z kości słoniowej”. No więc pogadajmy o wieżach.

Gmach Wydziału Budownictwa Wodnego w Gdańsku przypomina po trosze taki obiekt, jest bowiem dość wysoki. Mieszczą się w nim pracownie pozostające pod kierunkiem profesora Romualda Cebertowicza, specjaliści od słynnego zeskalania gruntów. Na ogół wiadomo, jakie korzyści metoda ta już przyniosła Polsce. Skarpa przy Trasie W-Z nie osunęła się i kościół św. Anny nadal zdobi Warszawę. W pewnej kopalni bogaty pokład węgla pokrywała gruba warstwa kurzawki, hamując przystęp. Została zeskalona tak skutecznie, że górnicy ciężko później klęli przebijając się przez nią. Bywa, że rozmaite względy nakazują budowę fabryki właśnie w takim miejscu, gdzie grunt jest sapowaty i bagnisty. Nie trzeba wycinać lasów i palować. Wystarczy zeskalć powierzchnię.

Są to rzeczy, jak już wspominałem, na ogół znane. Mniej rozpowszechniona jest wiadomość o tym, że Chiny już zdążyły założyć u siebie instytut naukowy, pracujący nad zeskalaniem. Wiedza ta przyszła do nich z Gdańska, gdzie chiński uczonego, dr Liu, bawił na praktyce. Podczas międzynarodowego zjazdu, który niedawno odbył się w Szwajcarii, pewien Hindus uganiał po Zurichu pilnie szukając profesora Cebertowicza. Wyczytał bowiem o nowej metodzie w prasie chińskiej, która lojalnie podała, kto mianowicie jest w tej mierze najlepszym na świecie specjalistą.

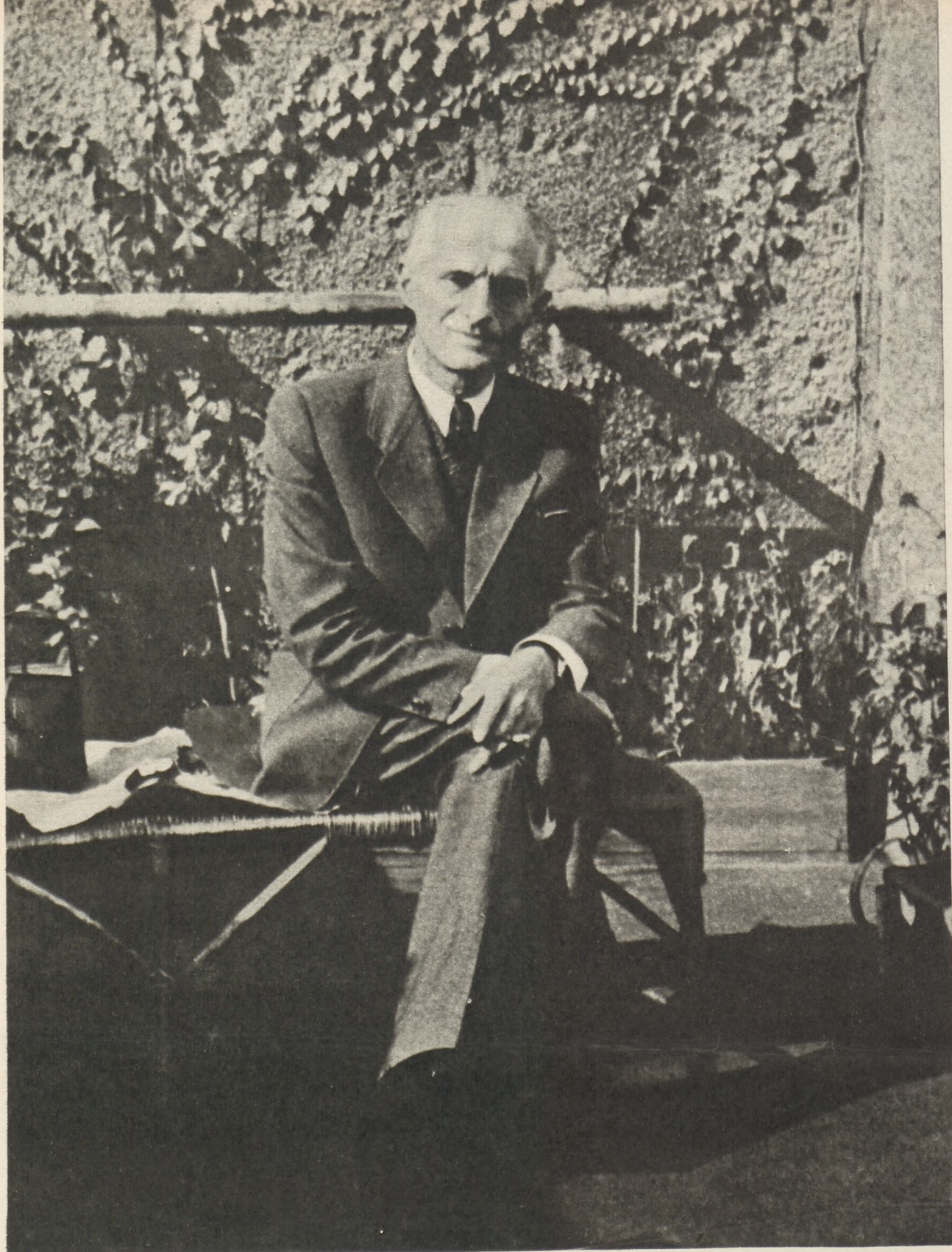
Oto jak w praktyce wygląda „utrata kontaktu z życiem” oraz izolacja w „wieży z kości słoniowej”. Polska, cały blok demokratyczny i inne kraje tylko czekają, co za nowy pomysł wyłoni się z tych „wież” na światło dzienne. Nie ma u nas obecnie żadnych nauk ezoterycznych, przeznaczonych tylko dla wybranej elity. Nawet specjalności tak dawniej kameralne jak historia sztuki oraz archeologia stały się przedmiotem powszechnego zainteresowania i najwyższej użyteczności publicznej.

Myśmy się przyzwyczaili wyglądać pomocy, ratunku, a nawet tzw. cudów od techniki. Ale przecież jej mocodawcą jest nauka. Bez niej technika utknie, jak dychawiczna szkap, której owsa skąpią, a tylko batem łożą i każą ciągnąć coraz to cięższy wóz po wyboistej drodze. Aby udoskonalić zeskalanie trzeba np. naukowo zbadać, z jaką szybkością pod wpływem prądu elektrycznego woda przesuwają się w porach gruntu. A schematu żadnego nie ma. Każdy rodzaj gruntu posiada swą indywidualność.

Myślę, że dość przykładów. Można by je zresztą mnożyć w nieskończoność.

To, co możemy oglądać w każdej polskiej instytucji naukowej, stanowi niezbyt dowód, iż ustrój nasz stworzył narodowi niebywałe dawniej możliwości pracy twórczej. A skoro tak, to istnieje święty obowiązek walki ze wszystkim, co możliwości owe zwręży i przeszkadza pracy realizacyjnej. Jednym z bardzo istotnych utrudnień jest rozrzutna, marnotrawna gospodarka czasem, a tym samym siłami i zdrowiem naszych naukowców.

Pora na interwencję ze strony Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego oraz Polskiej Akademii Nauk. A społeczeństwo musi niezwłocznie wystawić uczonemu mandat, na mocy którego będą oni mogli bronić swoich dni i nocy przed niewczesnymi nagabywaniami i biurokratycznym kołowratem.



JULIAN

Był wielkim polskim poetą. „Był poetą lirycznym i tłumaczem poezji na skalę rzadko spotykaną dotąd w literaturze polskiej — pisał o nim niedawno jeden z pisarzy współczesnych. — Był naprawdę czarodziejem i władcą słowa. Nic, co dotyczyło piękna poetyckiego, nic, co dotyczyło wzruszenia ludzkiego, nie było mu obce... Był uśmiechem i zadumą, był żółcią i miodem, był błyskawicą i tęczą współczesnej poezji polskiej. Wiersze jego pomnażały urodę naszego życia. Był jednym z największych współczesnych poetów w Polsce, a być może i w Europie...”

Jeden z krytyków, pisząc o ogromnej roli, jaką odegrał Julian Tuwim w dziejach poezji polskiej, stwierdzał, że „był to jeden z tych, którzy nadają imię epoce. Zastał lirykę polską ziemiańską i staroświecką, a zostawił ją demaskatorską i nowoczesną... Po zrewolucjonizowaniu liryki i satyry sięgnął do epiki, by przeobrazić ją równie dogłębnie jak wszystko, czego dotykał...”

Ostatnie lata życia i twórczości Juliana Tuwima wiążą się nierozdzielnie z dziejami Polski Ludowej. Były to lata nowych świetnych przekładów, nowych antologii, nowych wierszy, które, podobnie jak „Sztandar” i „Okrzyk”, sławiły „ojczyzny wielką wiosnę” i „wspaniałą Rzeczpospolitą”.

Zamieszczone obok artykuły i wspomnienia drukujemy w pierwszą rocznicę śmierci poety, przypadającą w dniu 27 grudnia 1954 r.

Wielki poeta był prawdziwym mistrzem satyry i jednym z najdowcipniejszych ludzi.

Zamieszczone niżej aforyzmy pochodzą z jego „Notatnika amerykańskiego”, „Błyskotliwych powiedzonek” i „Przeblysków genialności”, rozsypywanych przez Juliana Tuwima hojną ręką w naszych czasopismach tuż po powrocie do kraju, w latach 1946—1948.

Tragedia: zakochać się w twarzy, a ożenić się z całą dziewczyną.

Włóczęga: człowiek, który nazywałby się turystą, gdyby miał pieniądze.

Takt: nie powiedziana część naszych myśli.

Cmentarz: miejsce wypełnione ludźmi, którzy sądzili, że świat się bez nich nie obejdzie.

Człowiek przeciętny: ten, co sądzi, że nim nie jest.

Życie: okres czasu, którego pierwszą połowę zatrzuwają nam rodzice, a drugą dzieci.

Cynik: ten, co zna cenę wszystkiego, a nie zna wartości.

Święty: martwy grzesznik, odpowiednio zredagowany i wydany.

Na większości zagadnień literackich znam się

tyle, co ptak na ornitologii.

Sześciolatek: chłopak na widok bliźniąt: „Mamusiu, dlaczego jest dwóch, a ja tylko jeden?”

Ciężkie czasy! Trzeba się nieraz obchodzić bez rzeczy, o których istnieniu nasi dziadkowie nawet nie marzyli.

Nudziarz: człowiek, który mówi, gdy ja właśnie chcę mówić.

Mózg: aparat, za pomocą którego myślimy, że myślimy.

Duchowny: człowiek, który dba o nasze życie poza grobem i w ten sposób zarabia na własne życie doczesne.

Korsarstwo: handel, tak jak go Bóg stworzył.

Najkrótsza w dziejach literatury powieść: „Uko-

chana, czy chcesz zostać moją żoną?” — „Nie”. — I byli szczęśliwi przez całe życie.

Para: woda w natchnieniu

Ogród zoologiczny: miejsce, w którym zwierzęta przyglądają się ludziom.

Głupstwa można mówić. Byłe nie uroczystym tonem.

Modlitwa: prośba o szybkie skasowanie praw rządzących wszechświatem.

Królowa: kobieta, która rządzi państwem, gdy nie ma króla, i która rządzi państwem, gdy król jest.

Bogactwo: oszczędności wielu w rękach jednego.

Cnotliwa dziewczyna nigdy nie lata za chłopcem. Czy ktoś widział, żeby pułapka goniła mysz.

Błogosławiony ten, co nie mając nic do powiedzenia, nie obleka tego faktu w słowa!

Pesymista jest to człowiek, który sądzi, że wszyscy są tacy sami dranie jak on. Dlatego nienawidzi bliźnich.

Gdyby jajko miało inną formę, życie kury byłoby po-tworne.

Przyczynę do dzieła o pomieszeniu pojęć: — „Patrz, Ewusiu, bocian leci”. — „Nieprawda! Nie ma bocianów!”

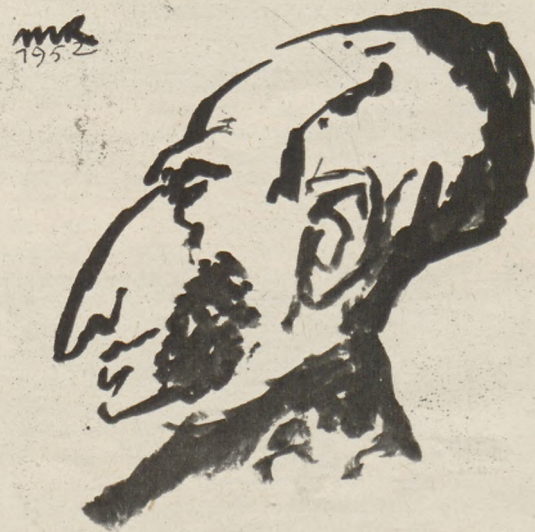
Murzyni mówią, że na początku świata wszyscy ludzie byli jednego koloru. I nastał dzień, kiedy Bóg rzekł do Kaina: „Co zrobiłeś z twoim bratem Ablem?” Wtedy Kain zbieleł ze strachu.

Mówią mi tamci, że bym się nie wtrącał do polityki („jesteś poetą”) — ale przyjęliby mnie z entuzjazmem, gdybym uprawiał ich politykę.

Argument: „ziemia ojców, dziadów i pradziadów” należy zastąpić argumentem „ziemia dzieci, wnuków i prawnuków”.

Gdyby napisanie „Farysa”, „Statku pijanego”, nawet „Hamleta” czy „Pana Tadeusza” trzeba było okupić nieszczęściem jakiegoś najdalszego, obcego człowieka — to co wtedy? Pisać czy nie pisać? Oczywiście, że nie.

Uchodźcy ze swojej ziemi — to nic. Gorszy są uchodźcy ze swoich czasów.



Rys. M. Rudnicki

Ktoś mądrze powiedział, że Ameryka jest krajem, który bezpośrednio z okresu pionierstwa (czy barbarzyństwa?) wszedł w okres dekadencji — bez tego, co zazwyczaj bywa pośrodku i trwa setki lat, tj. bez etapu kultury.

Uwaga mówcy na uroczystych obchodach i akademiach! Pamiętajcie, że drugie pół godziny

każdego przemówienia trwa o trzy godziny dłużej niż pierwsze.

Dziecka nie można wychowywać w ten sposób, że na lekcji arytmetyki mówi mu się, że $2 + 2 = 4$, a na lekcji religii, że $2 + 2 = 5$.

Zecerzy powinni odmawiać składania wierszy, których nie rozumieją.

Wybrał JÓZEF HEN

TUWIM

Kiedy za oknem mgły pajęczne
Nad Wisłą rozsnuł zmierzch perłowy,
Zaklinał w słów bukiety-tęcze
Przedziwne swoje sny-rozmowy.

Uskrzydlał myśl, uczucia wskrzeszał,
Szyderstwem palił i miłością,
Przeklinał, zbawiał i rozgrzeszał,
Był za pan brat z nieskończonością.

Słów niepokornych kolekcjoner
Tropił za nimi, gonił, szperał —
By wreszcie rymem wyzwolone
W strofę je zamknąć jak w futerał.

— Już Stradivarius nie zaśpiewa,
Gdy martwa dłoń Paganiniego...

Lecz pieśń uwila gniazdo w
drzewach —

I tam odnajdziesz ją i Jego.

STANISŁAW OSTROWSKI



Park miejski w Łodzi

wg litografii W. Waśkiewicza

TRASĄ „KWIATÓW POLSKICH”

...mój gród — to Łódź,
To moja kolebka rodzima!

MIASTO groźne, okrutne. Przejdźmy całą naszą literaturę — nie znajdziemy o nim dobrego słowa. Piętnował je Reymont i Bartkiewicz, inni obchodzili z daleka i chyłkiem. A kto miał nieszczęście przyjść w Łodzi na świat — uciekał, nie oglądał się, zapominał.

I tylko ten jeden dochował „złemu miastu” wierności. Pod gwiazdzistym szafirem zwrotników śpiewał piękno smutnych dymów nad Łódką, w siwej mgłę widział zaćmione słońce. I nawet ze strasznych, brudno-sinych ścieków umiał wyłowić krople najczystsze natchnienia.

Tęsknota? Nie, to co najwyżej drobną cząstkę tłumaczy. Rodowód całej Tuwimowskiej poezji wywodzi się „z miasta Łodzi”, jak mówią tameczni. Z łódzkich bruków i mglistego nieba, z mdłej, sadzą pokrytej zieleni, z dusznych hał fabrycznych i secesyjnych „wnętrz”, które złożył legendą, choć tak im urągał.

Jak to było możliwe? Nad tym niech się głowią literaccy eksperci. My, wiedząc o tym, zobaczmy miejsca, których wprowadzie żadna nie znaczy tabli-

ca, ale które na zawsze, póki Łódź będzie stać, związały się z imieniem poety. Mamy zresztą przewodnik bardzo miarodajny, bo sam go układał. Pójdźmy więc trasą „Kwiatów Polskich”, wejdźmy choćby na chwilę w gąszcz ulic miasta, o którym pisał:

Więc kocham twoją „urodę złą”,
Jak matkę niedobrą — dziecię,
Kocham twych ulic szarzystą młgłą,
Najdroższe miasto na świecie!
Zaszwarzotanych zaułków twych
Kurz, zaduch, błoto i gwary
Piękniejsze są mi, niż stolic szych
I niż paryskie bulwary!

Widzewska 44 (dzisiaj 46). Tu się urodził, na pierwszym piętrze bocznej oficyny. Niebawem jednak adres uległ zmianie. Tuwimowie przenoszą się na Pasaż Szulca, gdzie pod numerem piątym przyszła na świat jedyna ukochana siostra.

Daleka Irciu, czuła druhnio
Mego instynktu i sumienia...
Prawdziwa siostra moich widzeń...

Dołączono na str. 10

6.V.1952.

Droga Pani! Prepraniam, że tak późno odpowiadam na list z dnia 9.IV, ale byłem bardzo zajęty pracą i rozmaitymi kłopotami. Listy Pani sprawiły mi zawsze dużo radości — tyle w nich serca i prostoty, bezpośredniej miłości. Kiedy je czytam, mam zawsze wrażenie, że miła Cyganka Papusza, który mi w arty i mocno śniła moja ręką. — Czyżby Pani powtarza, że nie jest Pani poetką. Proszę mi wybaczyć (znam się na tym), że jest Pani poetką! Mam nowy dowód — wiersz o kolorytach z listu. Fikowski technicznie go przekłamał, może więc stwierdzić, że to silny utwór. Niech Pani dalej pisze — i zawsze ten samie ostate, z serca Cyganki pływające wiersze! Są one tak jeszcze trochę uzbiera, upłamy to w książkę (z polskim przekładem). Będzie to pierwszy na ziemi polskiej druk cygański, więc swego rodzaju historyczna książka.

Bardzo dziękuję za miłe zaproszenie, z którego kiedyś skorzystałem. Tymczasem jednak ani mój, a tym nie mogę. Stan zdrowia nie pozwala mi na odbywanie dalszych podróży. Nawet w Warszawie mało z domu wychodzę.

Zatęgam serdeczne pozdrowienia i wyrazy miłości dla Pani i jej rodziny. Gdy Pani będzie nieznacznie polepszała, proszę zawsze pamiętać napisać do mnie, a z kolei wyznać, co będzie w mojej opinii.

J. Fikowski

WCZASIE letniej wędrówki z Cyganami w 1949 roku poznałem poetkę cygańską Papuszę. Wówczas to pewnego sierpniowego wieczoru przy ognisku rozpalonym na leśnej polanie zapytałem, kto układa piosenki cygańskie. Odpowiedziała: „Powiadają, że to syreny”. A potem zaśpiewała swój pierwszy wiersz, żartując, że jest „syreną z lasu”. Tak odkryłem cygańską poetkę, która odtąd przysyłała mi w listach swoje utwory poetyckie. Mniej więcej po roku korespondencji przysłała mi Papusza wiersz pt. „Pieśń cygańska z Papuszy głowy ułożona”. W załączonym liście prosiła: „Braciszku, przetłumacz na polski i daj panu Tuwimowi”.

Papusza wiedziała, że Tuwim to poeta. Ale wierszy jego nie znała wówczas jeszcze. „Pieśń Cygańska” była wyrazem wdzięczności za serdeczną pomoc, jakiej nie skąpił Poeta Cyganom. Kiedyś opowiedziałam Papuszy, jak to dzięki staraniom Tuwima umieszczono w szpitalu dwie chore Cyganki. Papusza „Pieśnią Cygańską” uczciła Tuwima — pięknego człowieka, nie znając jeszcze Tuwima — wielkiego artysty. Opowiada w swojej „Pieśni”:

W lesie wyrosłam jak złoty krzak,
W namiocie cygańskim do prawdziwka podobnym.
Ogień kocham jak własne serce.
Wiatry silne i małe
Wykołysały cygańską dziewczynę
I w świat pognęły ją daleko.
Deszcze obmywały moje łzy...

W tych wspomnieniach Tuwima — „świeżych, żarliwych, serdecznych słowach” Papusza wspomina i żegna zarazem urokliwego cygańskiego życia, które łączy się w jej pamięci z utraconą młodością:

To, co opowiadałam,
wszystko, wszystko dawno minęło,
wszystko, wszystko ze sobą zabrało.
I młode lata.

Po otrzymaniu ode mnie oryginału cygańskiego i przekładu wiersza, Tuwim — zachwycony świeżą urodą tej poezji — pięknie jej podziękował specjalnym listem. Potem jeszcze niejednemu raz pomagał swej — jak mówił — „cygańskiej koleżance po piórze”, służył zawsze radą i pomocą. W paru listach wyraża Tuwim chęć poznania Papuszy. Niestety, do spotkania nie doszło, przyjaźń Tuwima z Papuszą została jednak ślad w korespondencji między nimi. Zachęcając Papuszę do kontynuowania pracy pisarskiej, pisze Tuwim: „Niech Pani dalej pisze — i zawsze takie właśnie proste, z serca Cyganki płynące wiersze! Gdy się ich jeszcze trochę uzbiera, wydamy to w książeczkę (po cygańsku z polskim przekładem). Będzie to pierwszy na ziemi polskiej druk cygański, więc swego rodzaju historyczna książka”. Obietnica Tuwima zostanie spełniona: owa „historyczna książka” ukaże się wkrótce nakładem Wydawnictwa imienia Ossolińskich.

Korespondencja wielkiego poety z Papuszą jest wzruszającym dokumentem przyjaźni, jaka darzyła każdego, kogo tknęła czarodziejska różdżka poezji, dokumentem radości, jaką budziły w nim zawsze narodziny poety.

JERZY FICOWSKI



Jak szarańcza rzucili się monopole amerykańskie na Tunis, grabiąc jego bogactwa. Praca robotnika tunetańskiego, ładującego fosfaty, bogaci zamorskich kapitalistów



Pustki na targu — nabywcy liczą się z każdym groszem. Ale mr Lafond, dyrektor

Tunis

FOTOREPORTAŻ WŁASNY „ŚWIATA”

Zdjęcia: PIERRE BERTRAND

W tej norze gnieździ się pięćosobowa rodzina — i płaci czynsz! Około 70 procent Tunetańczyków mieszka w takich warunkach. Wodę dowozi się na osłach.





kopalni fosfatów, zarabia 57 razy tyle co górnik.

„Po co zniekształcać prawdę? Kolonizacja jest niczym innym jak tylko przedsięwzięciem osoblistych, jednostronnych, egoistycznych interesów silniejszego przeciw słabszemu”. Słowa te wyszły spod pióra Alberta Sarraut, przewodniczącego Zgromadzenia Doradczego Unii Francuskiej i byłego ministra spraw wewnętrznych Francji. Typowym przykładem zastosowania tej zasady jest tak zwany „protektorat” francuski nad Tunisiem. Często nadchodzą teraz z Tunisu wieści, podawane skrzętnie przez światową prasę burżuazyjną, o starciach „powstańców” z „siłami odpowiedzialnymi za ład i porządek” w Tunisie. W przekładzie na język ludzki, mowa tu oczywiście o walce wyzwolenczej ciemnego narodu kolonialnego przeciw grabieżcom. Zarzwy wálki wzniecone zostało wiadomościami o sukcesach w boju z kolonizatorami francuskimi odniesionymi przez naród wietnamski. Coraz więcej ludów w Afryce północnej nie zadowala się obietnicami „suwerenności” szafowanymi szczerze przez kolejne rządy francuskie. Ucisk kolonialnej władzy sprawowanej od 1881 roku przez Francuzów w Tunisie staje się jeszcze bardziej nieznośny wskutek wyzysku narodu tuniskiego ze strony monopolu amerykańskich, które rzuciły się jak szarańcza na ten nieszczęsny kraj. „Zbudowały one — pisze obrazowo Mohammed Ennaftaa, sekretarz Komunistycznej Partii Tunisu — swoje bogactwa na ruinie całego naszego narodu”.

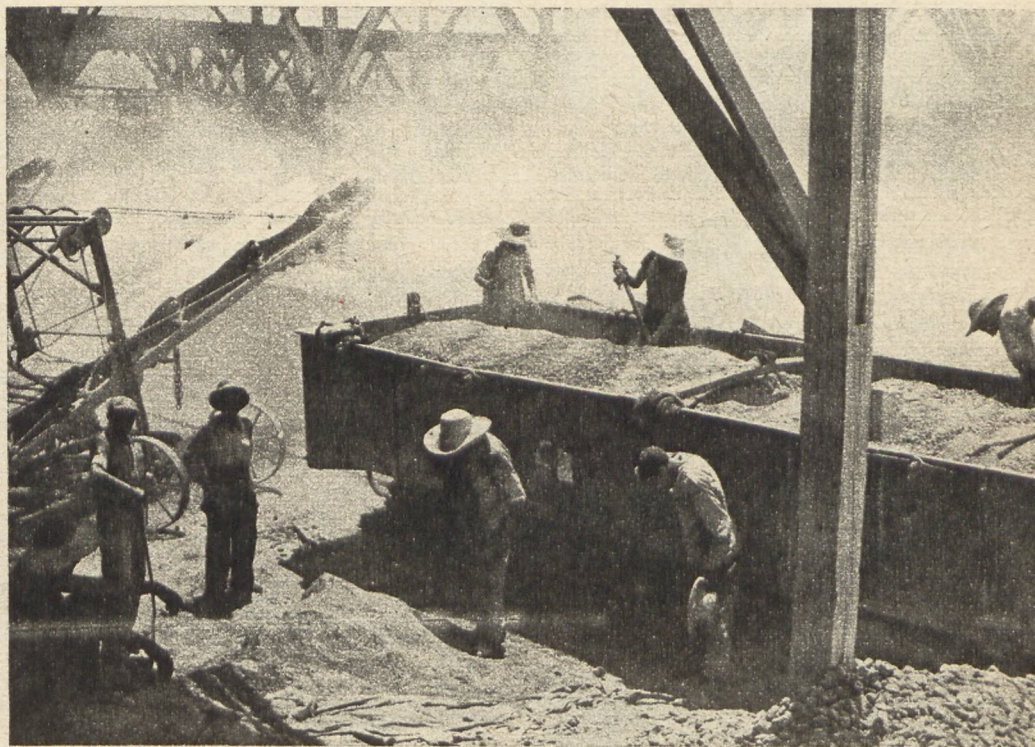
Przez dzieje Tunisu przewija się szkarłatna nić. Jest to krew ludu tuniskiego, wytoczona na przestrzeni minionych lat przez francuskich ciemleńców. I teraz naród — dzielny, pracowity i nieszczęśliwy — walczy o swoją wolność.



Lud Tunisu marzy o niepodległości swego kraju. Mieszkańcy Tunisu mówią: „Trzeba nam wody, szkół i wolności”



Z 700.000 dzieci w wieku szkolnym uczy się 225.000, z czego jednak zaledwie 17% — to dzieci Tunetańczyków. Za naukę trzeba płacić, a zarobki ledwie starczą na życie.



Pyl fosfatowy rujnuje zdrowie robotników Gafsy — ale za to w ubiegłym roku 467 milionów franków czystego zysku wpłynęło do portfeli akcjonariuszy.

PROROK Z BARAKU XIII

WYPRAWA DO OFLAGU

MARIAN BRANDYS

Rys. K. FERSTER

CIEŃ męczących spraw woldenberskich czał się jeszcze dokoła nas. Cóż stąd, że zmieniono przeznaczenie tego miejsca? Na końcu szarej, smutnej drogi dobiegniewskiej, z której przed chwilą spędził nas samochód obładowany karmą dla świń, stoi ostatnia zachowana ściana dawnego Oflagu. Z tego wzniesienia, tak samo jak przed laty, widać krajobraz, pocięty kratą drutu kolczastego. Tam daleko pod lasem jest miejsce, do którego przez pięć lat wyrzywało się serce. Całymi godzinami umiałem marzyć o tym, jakby to dobrze było pójść tam i położyć się na trawie pod drzewami. Za chwilę takiego samotnego wytnienia oddałbym wówczas kilka lat życia, które za drutami i tak nic nie było warte.

Ale dość rozklejających wspomnień. W Oflagu IIc działo się jeszcze wiele innych spraw, godnych poruszenia. Otaczają nas przecież dawne baraki jenieckie. Zmieniono w nich okna, pobielono je wapnem, przestały już być mieszkaniami ludzkimi. Ale w naszej pamięci z każdym z tych pokracznych budynków wiąże się jeszcze wiele interesujących ludzkich historii. Można do woli wśród nich wybierać. Mijamy właśnie barak XIII. Jest więc wspańska okazja do oderwania się od spraw szarpiących nerwy. Historia związana z tym barakiem jest jakby wycięta ze średniowiecznych kronik. Albowiem w baraku XIII w trzecim roku niewoli wydarzył się... cud.

Pewnego letniego dnia 1942 roku cały obóz zelektryzowała wieść, że porucznikowi Z. z baraku XIII przysnił się cudowny sen. Ze snu tego wynikało niezbitie, że 4 października tegoż roku wszyscy jeńcy Oflagu IIc znajdą się na wolności.

Dlaczego w ten właśnie sen obóz uwierzył bardziej niż w poprzednie cudowne sny, dlaczego prorok z XIII baraku okazał się szczęśliwszy od wszystkich swoich poprzedników i w ciągu jednego dnia zdobył sobie tłumy fanatycznych zwolenników — tego nie zdołałem dociec wówczas i nie rozumiem do dzisiaj. Sądze, że zasadniczą rolę odegrały tu warunki obiektywne. Moment na cud był dobrze wybrany. Sytuacja na frontach przedstawiała się fatalnie. Hitlerowcy z wielkim hukiem

ruszali do nowej ofensywy na wschodzie. Tymczasem w obozie nadejście lata wywołało potężniejszy niż zazwyczaj wybuch tęsknoty za krajem i za domem. Nasze stęsknione serca, nie znajdując na mapach strategicznych oparcia dla swych nadziei, poczęły marzyć skrycie o metafizycznym odwróceniu naturalnego biegu rzeczy. Obóz pragnął cudu, więc cud musiał się wydarzyć.

Nawiedzony cudownym snem porucznik Z. był wątłym człowieczkiem, niewysokiego wzrostu, o twarzy tak nijakiej, że wprost niemożliwej do zapamiętania. W życiu obozowym nie odznaczył się niczym szczególnym i do wybuchu „cudownej” awantury nikt spoza baraku XIII nie znał go. Jedyną cechą, która wyróżniała porucznika Z. z masy jenieckiej — był ogromny czarny beret „pancerniacki”. Najniewierniejsi Tomasz twierdzili zresztą, że prorok nosi ten beret bezprawnie, gdyż z przydziału mobilizacyjnego był najzwyczajszym piechocińskim „zajacem”.

Taką to nieciekawą kukiełkę ludzką miechy jenieckich tęsknot i pragnień rozdeły w ciągu paru zaledwie dni do rozmiarów pierwszej obozowej wielkości. Sfanatyzowani derwisze wątego proroka szaleli po wszystkich barakach, tłukli się w piersi, przytaczali tysiące dowodów na to, że cudowny sen musi się sprawdzić. Ludzie poważniejsi słuchali tych zapewnień z uśmiechem niewiary, ale i oni nie zdobyli się na ryzyko całkowitej rezygnacji z łakomej nadziei. Każdego przedpołudnia na placu przed barakiem XIII porucznik Z. osobiście komentował swój cudowny sen przed rzeszami ścigających tam pielgrzymów. Wkrótce osobą proroka zainteresowali się obozowi politycy. Dwa stronnictwa walczące z sobą o rząd jenieckich dusz: „piłsudczycy” i „sikorszczycy” wysyłali do Mekki proroka swoich ambasadorów. Na placu przed barakiem XIII, obok wychudłych wiernych z gorejącymi oczami, pojawili się spasieni pułkownicy, pobrzękujący ostrogami przy wypucowanych „na lustro” butach. W miarę upływu czasu widok placu przed barakiem XIII coraz bardziej upodabniał się do znanego obrazu pt. „Napoleon ze swym sztabem przed bitwą”. Bitwa miała się rozegrać 4 października. Napoleon, zamiast stosowanego kapelusza, nosił „pancerniacki” beret.

Z początkiem września, a więc na miesiąc przed zapowiedzianym terminem wyzwolenia — psychoza senna przybrała ogromne nasilenie. Na frontach armie hitlerowskie posuwały się ciągle naprzód, zdobywając nowe miasta i wsie rosyjskie, które wyszczególniano nam potem dokładnie w komunikatach Oberkommando der Wehrmacht, sytuacja parszywała dosłownie

kiem przed śmiercią i różnymi prawdziwymi i urojonymi cierpieniami. Kapitana D. za jego męczący charakter i cyniczną złośliwość ogólnie nie znoszono i młodzież barakowa obrała go sobie za przedmiot nie zawsze wybrednych żartów. Brutalne żarty godziły przeważnie w najczulsze miejsce starego hipochondryka — w jego lęk przed śmiercią.

W okresie szczytowego nasilenia psychozy cudu kapitan D. pogłębił jeszcze niechęć do siebie krzykliwym podkreśleniem niewiary w cudowne sny i jadowitymi dowcipami na temat proroka. Oburzeni zwolennicy proroka postanowili się zemścić na niedowiarku i uczynili to w sposób prawdziwie perfidny. Pewnego wieczora dwóch młodych podporuczników „wtajemniczyło” kapitana D. w „dodatkową klauzulę” cudownego snu. Porucznik Z. miał rzekomo poinformować najbliższe otoczenie, że w zapowiedzianym dniu wyzwolenia umrze w obozie jeden z najstarszych kapitanów. Cios był okrutny i dobrze wymierzony, lecz w gruncie rzeczy nawet sami żartownisie nie przypuszczali, że kapitan da się na tę bzdurę nabrać. A jednak okazało się, że lęki ludzkie potrafią wyłamywać się spod kontroli rozumu, nawet wtedy, gdy wspiera go wykształcenie dwóch fakultetów. Uparty niedowiarek załamał się wobec przerażającej „zgodności „wroźby” z własnymi od dawna żywionymi obawami i uległ panice. Jak oszalały ze strachu szczur poczał się miotać po całym baraku, szukając ra-



z godziny na godzinę — tymczasem w naszym obozie coraz większa gromada dorosłych ludzi ze średnim i wyższym wykształceniem poddawała się idiotycznemu złudzeniu, że w ciągu paru tygodni jakimś cudownym sposobem spadnie nam z nieba wolność. Opowiadano sobie coraz większe bzdury na temat sławnych przepowiadaczy przyszłości i ich sprawdzających się przepowiedni. Rewie poranne przed barakiem XIII stawały się coraz tłumniejsze i bardziej uroczyste. Przy tym, jak to zwykle bywa w takich mistycznych sytuacjach, rosła nietolerancja. W niektórych barakach głośnie wypowiadanie niewiary w proroka kwalifikowano po prostu jako... bolszewizm.

Na tle tego ciemnego średniowiecznego szaleństwa, spowodowanego „chorobą drutów kolczastych”, wydarzył się w naszym baraku dziwny incydent, którego ofiarą padł kapitan rezerwy D., adwokat, doktor dwóch fakultetów i — jak można było wnieść z jego opowiadań — prowincjonalny „król życia”. Był to człowiek już starszy, stargany hulankami i cierpiący na ciężką „angina pectoris”, a przy tym niepoprawny panikarz, plotkarz i hipochondryk, zatruwający całemu barakowi życie swym nieustannym lę-

dy i pomocy przeciwko „cudownej przepowiedni”. Wariactwo tego cynika i złośliwość, zmiażdżonego jednym głupim sztubackim żartem, było śmieszne, a jednocześnie przerażające. Ponieważ żadne rozumne argumenty na kapitana D. nie działały, doradziliśmy mu, aby poszedł wprost do proroka i od niego zażądał autorytatywnych wyjaśnień w sprawie „dodatkowej klauzuli” snu. Przez dwa dni w sklerotycznym mózgu kapitana lęk przed śmiercią toczył zażarty bój z lękiem przed ośmieszeniem się w oczach baraku. Lęk silniejszy zwyciężył. Następnego ranka nieszczęsny hipochondryk, chyląc łysą głowę pod ciężarem naszych kpiących spojrzeń, zmienił „domową” kurtkę z wołoku na „paradną” bluzę mundurową, wciągnął wysokie buty i ruszył do Canossy przed barak XIII.

Prorok przyjął niedowiarka łaskawie i oczywiście wszystkiemu zaprzeczył. Dawny nikomu nie znany poruczniczek zachował się jak prawdziwy prorok, świadomy swojej roli historycznej. Nie ograniczył się do zdementowania „klauzuli dodatkowej”, lecz jednocześnie wydał orędzie do wiernych, w którym potępił „nadużywanie łatwości ludzkiej” i „kpinę z rzeczy wzniosłych”.



Kapitan D. powrócił sprzed baraku XIII uspokojony, ale dziwnie nieswój. Pod wpływem doznanego upokorzenia coś w starym cyniku się załamało. Od tej chwili zaniechał zupełnie swych złośliwych dowcipów i strzegł się jak ognia wszelkich rozmów o Proroku i cudownych snach.

Tymczasem wrzesień zmierzał szybkim krokiem na spotkanie z październikiem. Dnie dzielące obóz od cudu przesuwali się między palcami jak paciorki różańca. Każdy dzień zmniejszał realne nadzieje na nagły zwrot w sytuacji wojennej. Z każdym dniem, na przekór faktom, rosła i rozprzestrzeniała się w obozie żarliwa, rozpaczliwa wiara, że cud jednak nastąpi.

Nadszedł wreszcie dzień ostatni — trzeci października. Tego wieczora do późna w noc szumiały rozmowy we wszystkich barakowych „klubikach pod piecem“. W tych ostatnich godzinach mistyczny szal naruszył spokój najbardziej zrównoważonych umysłów. Wstyd mi to wyznać, ale jestem głęboko przekonany, że owego październikowego wieczora nie było w całym obozie Oflag IIc ani jednego jeńca, który w najtajniejszym zakątku duszy nie łudził się, że następnego dnia mimo wszystko coś się wydarzy.

Ale nie wydarzyło się nic. Nie otwarło się niebo nad dalekimi frontami wschodu i nie wyjrzał z niego groźny Bóg-Ojciec z fresków Michała Anioła, aby posłać strach i zamęt wśród hitlerowskich armii nacierających na Stalingrad. Nie zasumiały nad niemiecką miejscina Woldenberg skrzydła anielskie i nie opuścił się desant niebieski dla uwolnienia jeńców Oflagu IIc. Odczytany nam tego dnia komunikat Oberkommando der Wehrmacht brzmiał jeszcze butniej niż komunikaty z dni poprzednich. Twarze naszych strażników z „Abwehrabteilung“ — służące nam za dodatkowy barometr do mierzenia sytuacji międzynarodowej — poraziły nas swoją zupełną beztroską. W godzinach popołudniowych stało się jasne dla wszystkich, że zapowiedziany cud nie nastąpi. Wtedy obóz jednym desperackim ruchem otrząsnął się z mistycznego duru i popadł w najgłębszy katzenjammer.

Proroka z baraku XIII z niebotycznego piedestału strącono na samo dno. W jednej chwili stał się najśmieszniejszą i najbardziej pogardzaną istotą w Oflagu IIc. Odarty z królewskiego płaszcza zbiorowych marzeń i pragnień, ukazał się oczom byłych wyznawców w całym bezmiarze swej pospolitości. Wspaniały beret „pancerniacki“ nie mógł uratować sytuacji. Teraz nie wątpił już nikt, że fałszywy prorok był najzwyczajniejszym „zajacem“.

A przecież znalazł się w naszym baraku ktoś, dla kogo mizerny porucznik Z. pozostał do końca nieomylnym głosi-cielem surowych wyroków losu. W nocy z czwartego na piąty października — kiedy najżarliwsi fanatycy „cudownego snu“ przestali wierzyć, że może jeszcze zajść coś niezwykłego — nieszczesny kapitan D., cynik i niedowiar-ek, zakończył nagle życie w ataku „angina pectoris“, na którą chorował od lat. Było to jedyne i mimowolne zwycięstwo obozowego proroka. „Cudowny sen“ nie potrafił wpłynąć na zasadniczą zmianę sytuacji wojennej, ale sfabrykowana żartem „klauzula dodatkowa“ wystarczyła dla uśmiercenia udreconego lękiem starego człowieka. Wyobrażam sobie, jak upadły Prorok musiał pluć sobie w brodę za to, że przed miesiącem odzegał się od przypisywanego mu proroctwa.

Tyle przypominam sobie, przy pomocy Mariana W., na temat tej niezwykłej, bądź co bądź, historii. Jeszcze raz obchodzimy dokoła dawny barak XIII i staramy się odtworzyć w terenie zabawne sceny sprzed dwunastu lat. Wygrzebujemy z pamięci jeszcze kilka śmiesznych szczegółów, związanych z bohaterami proroczej awantury i śmiejemy się z tego wszystkiego — tak głośno, że zwracamy uwagę przechodzących pracowników Tuczarni. Ale czynimy to bez wewnętrznej wesołości. Nie można śmiać się wesoło z samych siebie. Przecież i my z Marianem owego ostatniego wieczora braliśmy udział w tej piramidalnej bzdurze, jako wcale nie obojętni widzowie. Z pewnością nie była to zabawa, godna ludzi normalnych. Ale czyż zamykanie młodych zdrowych mężczyzn na całe lata do klatek z drutu kolczastego było bardziej normalną zabawą?

Dalszy ciąg nastąpi

CHILE NIE CHCE BYĆ GWATEMALĄ

PAMIĘTAMY dobrze interesujące reportaże, które ukazywały się na łamach „Świata“, omawiające sytuację krajów Ameryki Łacińskiej, pisane przez naszego korespondenta w Chile, Jose Miguela Varasa.

Otóż Jose Miguel Varas — to członek Chilijskiej Partii Komunistycznej, naczelny redaktor komunistycznego dziennika „El Siglo“ i wielki przyjaciel Polski, biorący aktywny udział w pracach Towarzystwa Chilijsko-Polskiego.

W lipcu br. na dziesięciolecie Polski Ludowej Jose Varas został zaproszony do Polski wraz ze znanym dramaturgiem Antonio Acevedo Hernandez. Będąc w Polsce podziwiał on nasze osiągnięcia w okresie dziesięciolecia i marzył o tym, aby jego kraj mógł w przyszłości poszczycić się tym, co my obecnie posiadamy.

Towarzystwo Przyjaźni w Chile rozwija się i działa, przenosząc i popularyzując nasze osiągnięcia. W pamięci narodu chilijskiego po dzień dzisiejszy żywe są postacie Ignacego Domejki i innych Polaków, którzy wydatnie wpłynęli na rozwój kraju. Radio chilijskie co niedzielę o godz. 10.30 przy dźwiękach mazurków Chopina rozpoczyna audycję o Polsce. Pobyt Jose Miguela Varasa w Polsce jeszcze bardziej zacieśnił więzy pomiędzy naszymi narodami. (Po powrocie do Chile zorganizował on szereg odczytów o Polsce i opublikował liczne reportaże).

13 listopada br. chilijski minister finansów, Jorge Prat, wystąpił na Radzie Ministrów z wnioskiem, domagającym się wytoczenia procesu dziennikowi „El Siglo“, oskarżając go o „złośliwą kampanię“, mającą „negatywny wpływ“ na życie gospodarcze kraju i wymierzoną w „demokratyczne formy rządzenia“. Co było przyczyną oskarżenia? Otóż 11 listopada br. przeprowadzono w Chile „reformę walutową“, co spowodowało obniżenie wartości peso w stosunku do dolara o 84%. O ile poprzednio 1 dolar równał się 110 peso, obecnie wartość jednego dolara wynosi 200 peso. Innymi słowy, za towar pochodzenia amerykańskiego płaci się teraz w Chile o 84% drożej. Ponieważ zaś rynek chilijski zalany jest artykułami przemysłowymi pochodzenia amerykańskiego, dewaluacja pociągnęła za sobą gwałtowną wyżkę cen.

Dewaluacja przeprowadzona została na wyraźne żądanie amerykańskich kół wielkokapitalistycznych. Prasa proamerykańska usiłowała ukryć istotny cel „reformy walutowej“, przedstawiając dewaluację pesą, jako zarządzenie korzystne dla Chile. Manewr ten jednakże zawiodł. Dziennik „El Siglo“ zdemaskował rzeczywiste cele dewaluacji i wskazał na prawdziwe jej skutki, powodujące jeszcze większe pogorszenie sytuacji mas pracujących. Na łamach „El Siglo“ ukazała się pełna lista towarów importowanych wraz z cenami porównawczymi sprzed i po dewaluacji. Okazało się, że ceny wzrosły prawie w dwójnasób.

Ujawnienie skutków gospodarczych dewaluacji wywołało ogromne poruszenie w kołach rządowych. Minister Prat nazwał to „godzeniem w dobrosąsiedzkie stosunki“ ze Stanami Zjednoczonymi. Dziennik „El Siglo“ i jego naczelnego redaktora oskarżono o oszczerstwo i pociągnięto do odpowiedzialności sądowej.



Nasz korespondent, redaktor naczelny „El Siglo“ Jose Miguel Varas, wielki przyjaciel Polski, wśród chłopów chilijskich.

Jose Miguel Varas stanął przed sądem pod zarzutem naruszenia tzw. „prawa o obronie demokracji“. Skazany został na więzienie a równocześnie zawieszono „prewencyjnie“ szereg pism postępowych.

Jednakże minęły już czasy, gdy kapitał amerykański mógł robić co chciał w krajach Ameryki Łacińskiej. Walkę o uwolnienie Jose Miguela Varasa i o wznowienie działalności prasy postępowej podjął front demokratyczny, obejmujący wszystkie organizacje postępowe. W wyniku akcji protestacyjnej wyrok został częściowo uchylony. Wznowiły swą działalność liczne pisma postępowe. Ale „El Siglo“ w dalszym ciągu pozostaje zamknięte.

Nastąpiły dalsze protesty kół dziennikarzy i pisarzy różnych przekonań politycznych. Żądano natychmiastowego zwolnienia Jose Miguela Varasa i zniesienia zakazu „El Siglo“. Akcja protestacyjna o niespotykanych rozmiarach ogarnęła cały kraj. Związki Zawodowe górników, drukarzy, nauczycieli przyłączyły się do akcji, która przekształciła się w powszechny protest przeciwko polityce imperializmu amerykańskiego.

W dniu 25 listopada Jose Miguel Varas został uwolniony z więzienia. Wielka akcja protestacyjna zadała cios imperializmowi amerykańskiemu i jego agentom w rządzie chilijskim. Masy ludowe Chile nie chcą, by kraj ich stał się nową Gwatemalą.

E. S.



Fot. Leon Stanisławski
Morozowiczowa w jubileuszowej roli

60 LAT MŁODOŚCI

„TEATR jest miejscem, w którym powinny dziać się rzeczy dziwne, niezwykle. Dlatego zdarzyło się kiedyś, że aktorka, która obchodziła jubileusz 50-lecia swojej pracy scenicznej miała dopiero... 48 lat.

Z naszą Jubilatką było trochę lepiej — ona obchodziła swój pierwszy jubileusz, gdy już była na świecie. Gdy po raz pierwszy wystąpiła na scenie miała już trochę lat, ale niezbyt wiele — bo 15...“

Takim oto dowcipnym wstępem rozpoczął swoje przemówienie Adam Grzymała-Siedlecki, który w imieniu Zarządu Głównego Stowarzyszenia Polskich Artystów Teatru i Filmu złożył Natalii Morozowiczowej życzenia w dniu jej pięknego jubileuszu — 60-lecia pracy artystycznej.

Natalia Morozowiczowa, znakomita artystka dramatyczna, której nazwisko od 35 lat (z przerwą okupacyjną) związane jest ze sceną teatru bydgoskiego, obchodziła w dniu 1 grudnia br. czwarty z kolei jubileusz: pierwsze dwa — 25-lecia i 30-lecia pracy odbyły się przed wojną. Jubileusz 50-lecia, ze względu na okupację hitlerowską mógł się odbyć dopiero w roku 1946.

W dniu jubileuszu 60-lecia pracy artystycznej Natalia Morozowiczowa odznaczona została przez Radę Państwa Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

W ogromnej ilości depesz gratulacyjnych, które otrzymała Jubilatka m. in. od Ludwika Solskiego, Mieczysława Ćwiklińskiego, Wojciecha Brydzińskiego, Idy Kamińskiej — koledzy aktorzy życzyli Jubilatce długich jeszcze lat życia i pracy dla polskiego teatru.

W dniu swego jubileuszu Natalia Morozowiczowa wystąpiła w roli sędziny Bydgoskiej w sztuce Józefa Korzeniowskiego „Majątek albo imię“.

Wyrazem wdzięczności za tę kreację byłd powódź kwiatów, które po przedstawieniu wypełniły scenę.

Przeszło pół wieku nieustrudzonej pracy — to 60 lat młodości Natalii Morozowiczowej, to dziesiątki najrozmaitszych kreacji — od komedii do dramatu, to niezwykle ofiarne życie oddane w służbę polskiemu teatrowi.

WŁODZIMIERZ KARSKI

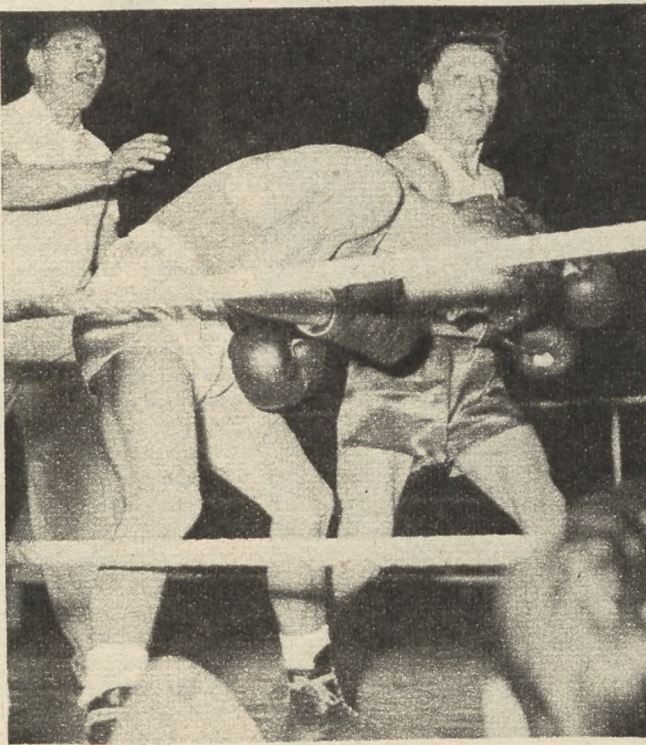


Zbigniew Pietrzykowski zaatakował Fina Alho. Rozpoczął akcję wspinalym prawym prostym, po którym nastąpił błyskawiczny lewy sierp. Oba ciosy doszły do celu. Tego rodzaju natarcia powtarzały się co chwila i bardzo wyczerpywały Fina, który już w trzeciej rundzie nie był w stanie utrzymać dystansu i z wielkim trudem dotrwał do końcowego gongu. Pietrzykowski na przestrzeni 11 dni wygrał trzy walki, z których jedną przez nokaut.

Wielkolud fiński Koski (93 kg) niepodzielnie królował na ringu w pierwszej rundzie, spychając Węgrziniaka do obrony. Jednak począwszy już od drugiego starcia okazało się, że Fin jest „olbrzymem na glinianych nogach”.



W trzeciej rundzie zażartego pojedynku pomiędzy Kulkierem a Limmonenem nikt już nie wątpił w wynik walki. Fin, wyczerpany ciągłymi atakami, już tylko ograniczał się do obrony i z trudem przetrwał do końca walki.



Poprzedni FIŃSKA

SŁYSZELIŚCIE zapewne o słynnych nożach fińskich. Małe sztyleciki stały się swego czasu — bo — daj że po pierwszej wojnie światowej — klęską kraju, bo większość młodzieńców w Finlandii nosiła w tylnej kieszeni sztylecik i marzyła o sposobności, aby wypróbować jego ostrze. Dochodziło też często do rozpraw nożowych, które powodowały wiele groźnych wypadków a nawet zabójstw.

Zastanawiano się, jak zaradzić złu. Ktoś zaproponował wprowadzenie i szeroką popularyzację boks — bo przecież jak młodzież zacznie walczyć na pięści — zapomni o nożach. Cel został osiągnięty. Boks wyparł w Finlandii niebezpieczne popisy nożami.

Takie były początki pięściarstwa fińskiego, a wiadomość o tym zaczerpnęliśmy z programu, który został wydany przez Finów z okazji pierwszego meczu bokserskiego Polska-Finlandia, rozegranego w 1937 roku w Helsinkach. Zwyciężyliśmy wówczas w stosunku 10:6.

Ale historia powojennych bojów polsko-fińskich jest bardziej charakterystyczna. Ile razy wybraliśmy się do Suomi, dostawaliśmy w skórę, a gdy Finowie przybywali na nasze ringi, alegali nam wysoko.

Obie strony za wszelką cenę dążyły zawsze do przełamania złej passy i Finowie, choć tego nie mówili głośno, marzyli tym razem o sukcesie, a w najgorszym razie o remisie. Zmobilizowali przecież najsilniejszy skład z olbrzymim Koski na czele. A w naszej drużynie zabrakło Soczewińskiego i Niedźwiedzkiego, kontuzjowanych w czasie paryskiej wyprawy.

Jak dotąd olbrzymi Koski, postrach wszystkich pięściarzy Europy, chluba fińskiego boks, półfinalista olimpijski, po prostu zmiatał z ringu naszych najcięższych. Dwa razy znokautował Gościńskiego, powalił również wielkoluda śląskiego Drapalę. Czyż żaden z Polaków nie potrafi mu stawić czoła?

Przed meczem w Stalinogrodzie, jak to zwykle bywa, odbyły się badania lekarskie. Nasz doktor Moskwa, człowiek niewielkiego wzrostu, chciał zajrzeć do jamy ustnej Koskiego. Wspiął się na palce, ale gdzie tam!... Wtedy to przewodniczący naszej sekcji bokserskiej — Neuding, znany ze swej siły, chwycił w pól lekarza

Zenek Stefaniuk stoczył bardzo dobrą walkę z Finem Luukkonenem. Na zdjęciu widzimy, jak Polak po zlikwidowaniu ataku Fina natychmiast przechodzi do przeciwnatarcia, starając się trafić w korpus przeciwnika.



Zdjęcia: W. PRAŻUCH

GARDE

i podniósł jak piórko. Doktor mógł spełnić swój obowiązek.

W kilka godzin później podziwialiśmy na ringu olbrzymią postać Fina. Naprzeciw niego wychodził niższy i szczuplejszy Węgrzyniak. Gong uderzył, walka rozgorzała... Lecz miała ona swój początek już dawniej, przed kilku laty, kiedy to Gościański po raz pierwszy znalazł się w naszej reprezentacji i pojechał do Heisinek, aby zmierzyć się z Koskim. I wtedy to już Sztam zaczął rozmyślać nad planem kampanii.

— Nie wolno ci atakować, broni się ile ci sił starczy. Staraj się jak najprędzej zmęczyć Koskiego. Takiego wielkiego chłopca, powinien stracić oddech, musi go zatkać... Dam ci znać, kiedy masz przejść do ataku. Wtedy postarasz się go trafić w żołądek.

Ale ten przemyślany plan nie był zrealizowany, gdyż... Gościański nie dotrwał do drugiej rundy. Był zbyt czurowy; nie posłuchał Sztama, ruszył do przodu, wdał się w wymianę ciosów... i został wyliczony.

Plan wykonał dopiero w Stalinogrodzie Węgrzyniak, ale, jak wiemy, i tym razem niewiele brakowało, aby plan spalił na panewce, gdyż Polak w pierwszej rundzie omal nie wyleciał z ringu.

Tak więc, w Stalinogrodzie pokonaliśmy Finów 16:4. Poprzednio rozprawiliśmy się z Francją i Belgią, a ogólny bilans tych spotkań wynosił 44:16 na naszą korzyść. Kierownictwo pięściarskie być może spotka się z zarzutem, iż trzy mecze w ciągu 11 dni — były ponad siły naszych bokserów. Krytyka taka byłaby nieśluszna. Nie możemy zapominać, że już tylko kilka miesięcy dzieli nas od Mistrzostw Europy w Berlinie. Wtedy to nasza czołówka będzie musiała w ciągu zaledwie sześciu dni zdobyć się na najwyższy wysiłek.

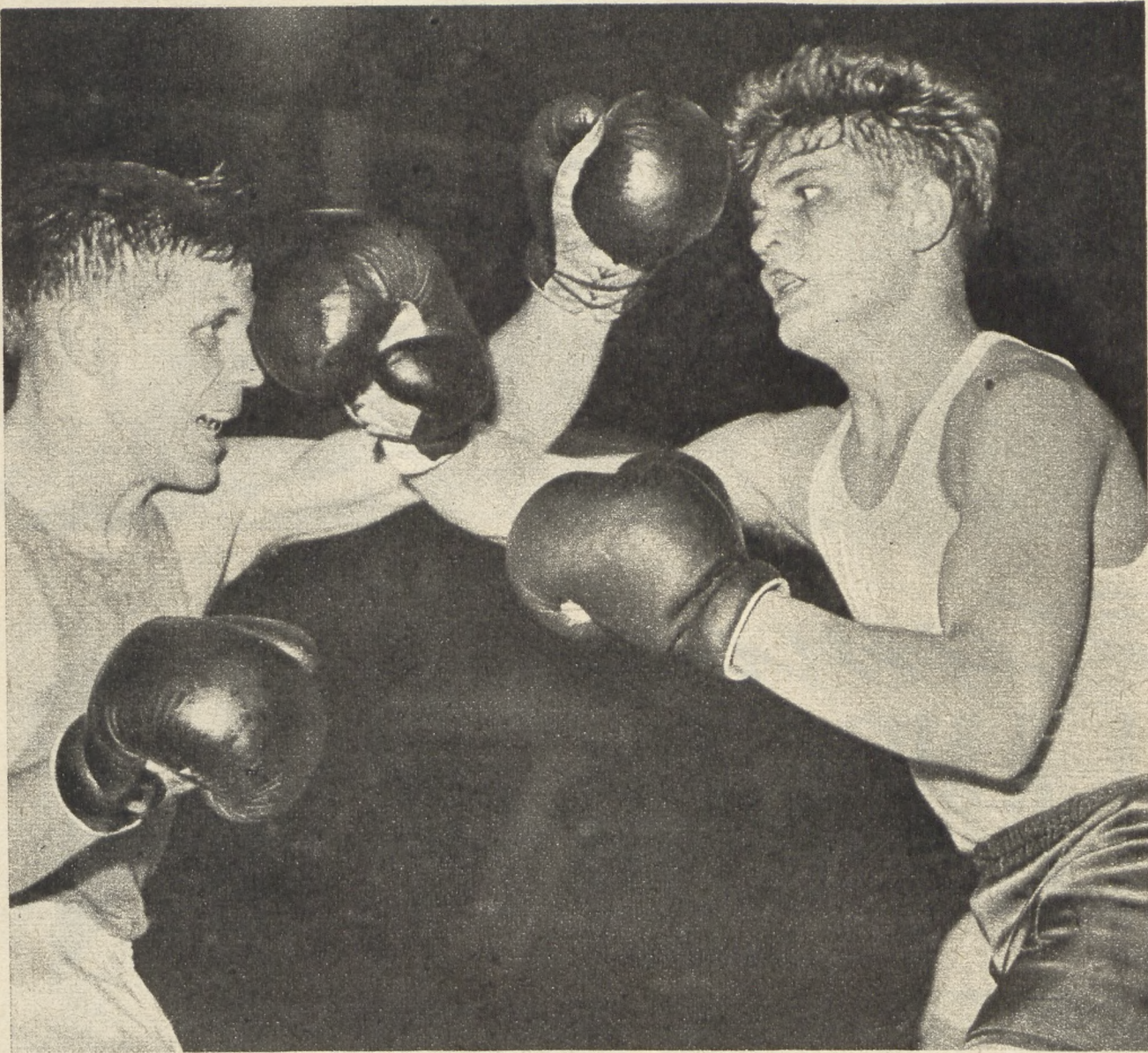
Niech więc chłopcy zaprawiają się właśnie w kierunku ekonomicznego rozkładania sił.

Ostatnie trzy mecze przyniosły im duży pożytek. Na przykład we Francji przekonali się, że walka w zwarcie jest wielkim atutem i już na ringu stalinogrodzkim zaczęli próbować tej sztuki. W zetknięciu z Finami, dzielnymi, bojowymi chłopcami, idącymi ciągle na przód, mogli wypróbować precyzyjne kontry, jak to świetnie uczynił Milewski.

Warto więc było rozegrać trzy mecze w ciągu 11 dni...

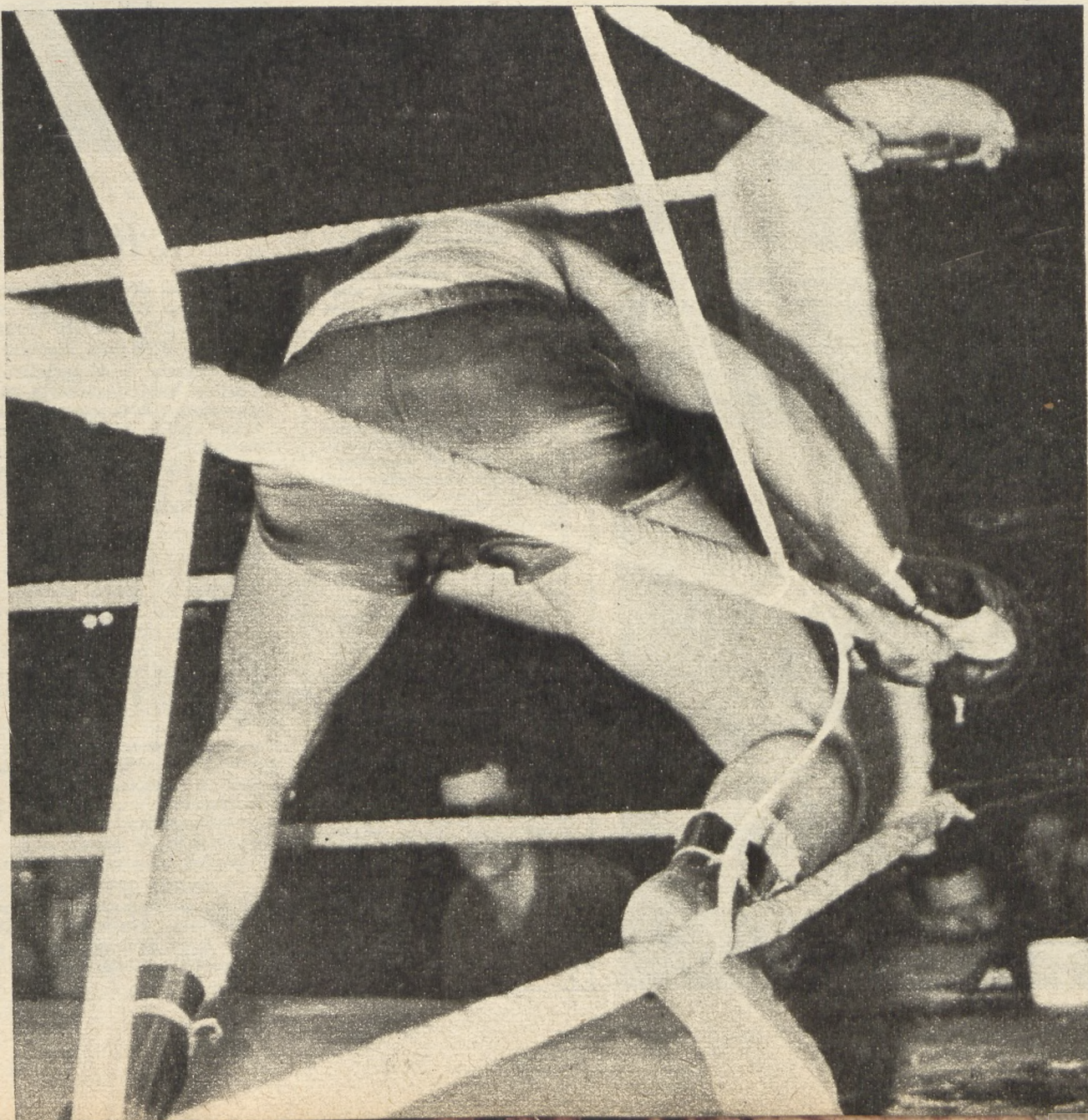
K. GRYŻEWSKI

Na tym zdjęciu możemy spostrzec, jak Leszek Drogosz dojrzał niewielką lukę w zasłonie Fina Backmana i jego prosty niespodziewanie dosięgnął przeciwnika. Leszek Drogosz był najlepszym bokserem w drużynie polskiej.



Jeden z naszych najmłodszych bokserów — Ponanta (z prawej), dowiódł w ostatnich meczach, iż poczynił znaczne postępy techniczne. Prasa francuska szczególnie wyróżniała młodego Ślązaka, podkreślając, iż jest on bardzo stylowym bokserem. W Stalinogrodzie przekonaliśmy się, iż dziennikarze francuscy nie przesadzali. Ponanta w pięknym stylu wygrał z Bostroemem. Na zdjęciu widzimy go w pojedynku z Finem, gdy przechodzi na półdystans.

Nasz fotoreporter uchwycił najbardziej dramatyczny moment meczu. Potężny sierp zadany przez Koskiego zachwiał Węgrzyniakiem i ściął go z nóg, a nawet omal nie wyrzucił poza ring. Zdawało się, że to już koniec walki i Polak będzie musiał skapitulować. Na szczęście dla naszego boksera, gong uratował go z przykłej sytuacji; po odpoczynku obraz walki całkowicie się zmienił i dzielny Węgrzyniak przeszedł do skutecznego natarcia.



III SUBSKRYPCJA GRAFIKI ARTYSTYCZNEJ

Związek Polskich Artystów Plastyków wraz z redakcją „Życia Warszawy” i „Expressu Wieczornego” organizuje w dniach od 15.XII.54 r. do 6 stycznia 1955 r. III subskrypcję grafiki artystycznej. Salon subskrypcyjny i wystawa grafiki będą czynne w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki w Warszawie przy ul. Nowy Świat 15/17 róg Al. Jerozolimskich. Do subskrypcji przystąpiło ok. 50 grafików, którzy zgłosili kilkadziesiąt prac przyjętych i zakwalifikowanych przez jury, złożone ze znanych plastyków, profesorów Akademii Sztuk Plastycznych. Wystawę grafik subskrypcyjnych można zwiedzać codziennie. Na miejscu przyjmowane będą zapisy na poszczególne prace, których ceny ustalono od 40 do 70 zł, czyli ok. 10 razy taniej niż w normalnym cenniku ZPAP.



M. Hiszpańska-Neumann — NOWA RUDA



Stefania Brandt — DZIECI.

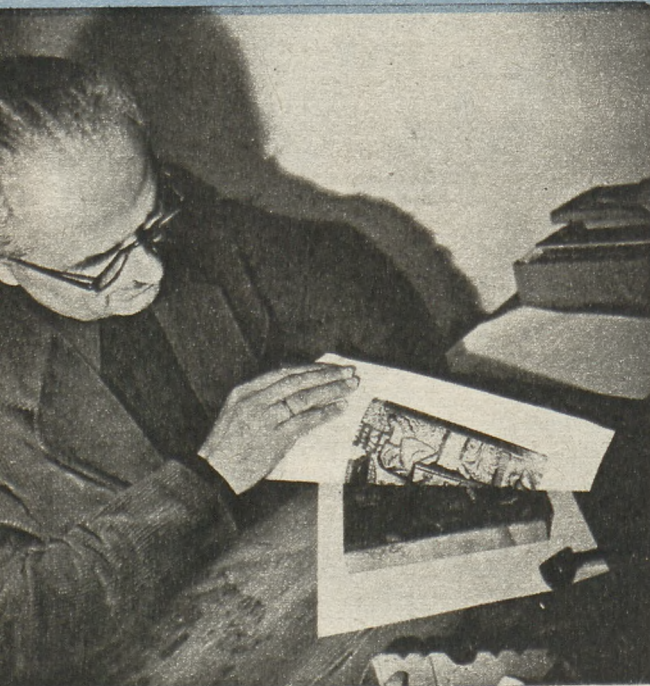
Zamiast „LANDSZAFTU”

Zdjęcia: A. WRÓBLEWSKI



Profesor Akademii Sztuk Plastycznych Józef Pakulski przy pracy nad kamieniem litograficznym.

Artysta Mieczysław Jurgielewicz przy pracy nad drzeworytem „Jan Kochanowski”



W WALCE ZE ZŁYM SMAKIEM

Gwałtowny rozwój poligrafii powoduje coraz częściej „ucieczkę” artystów grafików od warsztatu, od trudnej i wymagającej pracy w materiale graficznym, jakim jest klocek drzeworytniczy, płyta akwafortowa i płyta litograficzna. To niepokojące i charakterystyczne zjawisko prowadzi do zubożenia skali wyrazowej w grafice artystycznej. Najbardziej unowocześniona poligrafia poprzez mechaniczną reprodukcję nie przekazuje indywidualnej cechy dzieła, wykonanego bezpośrednio ręką artysty. Autorska odbitka osobiście kontrolowana przez artystę jest żywym i przekonującym wyrazem graficznym.

Zawiązana przy Zw. Polskich Artystów Plastyków podsekcja grafiki technik szlachejnych podjęła zadanie upowszechnienia grafiki artystycznej, kontynuowania pięknej tradycji polskiego drzeworytu, rozszerzając swą pracę i na pozostałe dyscypliny graficzne, jakimi są akwaforta i litografia.

Organizacja III subskrypcji grafiki artystycznej, której otwarciu nastąpi w okresie świątecznym br., ma na celu umożliwienie nabycia autorskiej odbitki, czyli grafiki wykonanej przez artystę. Wartość plastyczna tych grafik zakwalifikowanych przez specjalnie powołane jury, złożone z czołowych plastyków, nie powinna budzić zastrzeżeń.

Upowszechniając grafikę artystyczną, podsekcja grafiki ZPAP na swoim odcinku podejmuje walkę z pozostałościami złego smaku, kształconego na miernych i bezwartościowych oleodrukach, zmierzając do podniesienia ogólnego poziomu kultury.

JÓZEF PAKULSKI
prof. ASP



Halina Chrostowska przy odbijaniu akwaforty.

...RADOŚĆ DLA ARTYSTY

Szczupła, drobna, uśmiechnięta krząta się koło niewielkiej prasy, spod której wyszło już tyle pięknych akwafort. Akwaforta — to specjalność Haliny Chrostowskiej. Za cykl „Z PGR” otrzymała pierwszą nagrodę w dziale grafiki na IV Ogólnopolskiej Wystawie Plastyki w Warszawie.

— Szkoda, że ta technika ma u nas stosunkowo niewielu przyjaciół. — mówi — Bardzo bym się cieszyła, gdyby subskrypcja przyczyniła się do rozpowszechnienia akwaforty. Jako jedna z wielu technik grafiki mogłaby ona ogromnie podnieść estetykę i kulturę naszych wnętrz, co nam, plastynom, dałoby dużo zadowolenia. To wielka radość dla artysty widzieć swoją pracę w czyimś mieszkaniu. Wie się wtedy, że jest się potrzebnym, że spełnia się swoją rolę.

— Jak powstaje akwaforta? Może pani opowie, bo z pewnością nie wszyscy wiedzą, jaka jest technika otrzymywania gotowej grafiki?

— Proces nie jest prosty. Zaczyna się od płyty cynkowej, po prostu kawałka grubiej blachy cynkowej, którą pokrywa się z jednej strony lakierem asfaltowym. Tym lakierze rysuje się igłą, czyli po prostu zdrapuje się delikatnie jego warstwę. Oczywiście, trzeba pamiętać, żeby rysować „na lewą stronę”, czyli tam, gdzie się chce np. uzyskać człowieka podającego prawą ręką trzeba narysować, że podaje lewą. Po narysowaniu, płytę trawi się kwasem azotowym. Wytrawia on cynk wszędzie tam, gdzie igła zdrapała lakier. Powstaje w ten sposób rysunek wyarty w głąb blachy. Usuwa się następnie resztę lakieru, płytę pokrywa się farbą drukarską i... wyciera dokładnie ściągą.

— Wyciera?

— Tak, ale tuż pozostaje we wgłębieniach, wytrawionych przez kwas.

— Ach, więc zwykła technika wkłesłodruku!

— Mniej więcej. Na płytę kładzie się następnie arkusz kartonu, na to — arkusz filcu i przepuszcza przez prasę. Karton pod ogromnym ciśnieniem wciska się w szczeliny, wchłania tuż i grafika gotowa.

— Długo trwa praca nad jedną odbitką?

— Około 45 minut.

— Czy pani pracuje tylko tą techniką?

— Jeszcze prócz tej — „suchą igłą”. Podobnie, ale bez trawienia w kwasie. Po prostu wydrapuje się rysunek na płycie, oczywiście, dużo silniej i głębiej, niż przy akwafortcie, gdzie zeszkrobuje się tylko lakier. Dalszy proces taki sam.

— A co pani przeznaczona na subskrypcję?

— Jedną z nagrodzonych grafik, mianowicie „O zmierzchu”.

(A. W.)

POSTAWIONY przed Najwyższym Trybunałem Narodowym komendant Oświęcimia, ludobójca Rudolf Hoess, spierał się tylko co do ilości zagazowanych. Twierdził, że nie spalił dwu i pół miliona ludzi, lecz półtora, że „obóz oświęcimski był jednakże ograniczony”. W rozmowach z profesorem Batawiał, ze strażnikami więziennymi, którzy pokazywali mu swoje wytatuowane w obozie numery, a także przed sądem podkreślał, że nie czuł nienawiści do swych ofiar. W pamiętniku, który zostawił, także nie ma słowa nienawiści do tych, których wytracił w komorach gazowych. W stosunku do niektórych ofiar znajdujemy w pamiętniku karty pełne sympatii, życzliwego zdumienia i filozoficznej zadumy. Przeznaczony w dzieciństwie do stanu duchownego, również, potem, kiedy wchodzi na drogę specjalisty od obozów koncentracyjnych, jest pełen zachwytu dla badaczy Pisma świętego. Także jego żona twierdzi, że nie można lepiej troszczyć się o dom, niż to robią „pszczołki biblijne”, zatrudnione w charakterze służących. Jedną z pszczołek, służącą u innego oficera SS w Oświęcimiu, z oczu odczytywała wszelkie jego życzenia, natomiast z zasady odmawiała czyszczenia munduru. Blżej Hoess poznał badaczy Pisma świętego jeszcze w początkach swej kariery w Sachsenhausen, kiedy to cyfra kilku tysięcy więźniów wydawała się niewiarogodna. Hoess znał fanatyków religijnych z klasztorów, z miejsc odpuستowych w Palestynie, Hedżasie, Iraku, Armenii, katolików i prawosławnych, muzułmanów, szytów i sunnitów, ale w Sachsenhausen zetknął się z czymś o czym do tej pory nie miał pojęcia. Za odmowę służby w armii dwaj chłopcy spośród badaczy Pisma zostali skazani na śmierć. „Gdy im oznajmiono w areszcie o wyroku, wpadli w niepomaganą radość i zachwyt, nie mogli się doczekać wyroku. Wciąż składali ręce, patrzyli z zachwytem w górę i wołali nieustannie: Już wkrótce będziemy u Jehowy, co za szczęście, że jesteśmy wybranymi losu... W olśnieniu i zachwycie stali pod drewnianą ścianą czekając na rozstrzelanie... Wszyscy, którzy widzieli tę śmierć, byli wzruszeni. Nawet na drużynie egzekucyjnej zrobiło to wrażenie...” Hoess podaje, że Himmler badaczy Pisma świętego stawiał SS-manom za wzór.

Cyganów Hoess nazywa swoimi ulubieńcami. W roku 1942 do Oświęcimia przyjechał Himmler. Hoess pokazał mu swój ulubiony obóz, wypełnione baraki mieszkalne, baraki szpitalne pełne chorych, dzieci chore na nogę, przypominającą trad, „te wymizerowane ciała dziecięce z wielkimi dziurami w policzkach, ten powolny rozkład żyjącego ciała”. Himmler kazał mu spalić „to wszystko”. Potem w Oranienburgu Cyganie, którzy znali Hoessa z Oświęcimia, dopytywali się o swych bliskich, dawno zagazowanych.

Nawet do Żydów Hoess nie czuł nienawiści, chociaż brał udział „w ostatecznym rozwiązaniu kwestii żydowskiej”; im właśnie poświęcił w pamiętniku kilka filozoficznych zapytań. Nie czuł nienawiści także do jeńców radzieckich, na których po raz pierwszy wypróbowano Cyklon B. Masowe egzekucje sprawiała wiele kłopotu, postrzeleni uciekali krzycząc dziko, w plutonach egzekucyjnych często zdarzały się wypadki obłędu i samobójstwa, trzeba było koniecznie zaprzestać kosztownych, kłopotliwych i niezupełnie skutecznych rozstrzeliwań i przejść na gaz. Pod nieobecność Hoessa Hauptsturmfuehrer Fritsch, pierwszy komendant Oświęcimia, z własnej inicjatywy zastosował Cyklon B. Wypełnił jeńcami piwnice i wrzucił kilka puszek tego gazu używanego do tępienia robactwa. W pewien czas potem sam Hoess brał udział w gazowaniu 900 jeńców radzieckich. „Rosjanie musieli rozebrać się w przedsionku, po czym wchodziłi zupełnie spokojnie do kostnicy, powiedziano im bowiem, że muszą być odwzeleni. Przy wrzucaniu gazu kilku jeńców syknęło: gaz, po czym rozległ się głośny syk i zaczęto napierać wewnątrz na drzwi. Drzwi wytrzymały jednak napór. Śmierć taką zawsze wyobrażałem sobie jako pełne męczarni zaduszenie, tymczasem na zwłokach nie było widać jakiegokolwiek śladów skurczów. Jak mi opowiadali lekarze, kwas pruski działa hamujący na płuca, lecz działanie jego jest tak silne i szybkie, że nie prowadzi do objawów zaduszenia, jak to się dzieje na przykład przy gazie świetlnym lub całkowitym braku tlenu... Nigdy nie widziałem i nie słyszałem o takim wypadku, by choć jeden zagazowany w Oświęcimiu żył jeszcze w czasie otwierania komór pół godziny po wrzuceniu gazu...”

„Przez wziernik w drzwiach można było zobaczyć, jak osoby stojące najbliżej przewodów wrzutowych natychmiast padały martwe. Blisko jedna trzecia ofiar umierała od razu. Inni zaczęli się tłoczyć, krzyczeć, chwycić powietrze. Wkrótce jednak krzyk obracał się w rżenie, a po paru minutach wszyscy leżeli. Najwyżej po dwudziestu minutach nikt się już nie poruszał. Skutek działania gazu występował w ciągu 5—10 minut w zależności od pogody, czy było wilgotno lub sucho, ciepło albo zimno, w zależności od jakości gazu, który nie zawsze był jednakowy, wreszcie w zależności od tego, ile osób zdrowych, starych, chorych i dzieci znajdowało się w transporcie. Utrata przytomności następowała po kilku minutach, co zależało od odległości, która dzieliła ludzi od szybów wrzutowych. Krzyczący, starsi, chorzy, słabi i dzieci padali prędzej aniżeli zdrowi i młodzi”.

Oto męczarnie, jakim Hoess poddawał ludzi, do których, jak twierdzi uparczywie, nie czuł nienawiści. Widmo szubienicy mogło zmienić Hoessa, piszącego pamiętniki w polskim więzieniu, ale zdaje się, że naprawdę nie czuł nienawiści do tłumów, które pędził do komór. Siły do zadawania tortur czerpał z rozkazu, który był dlań równoznaczny z prawem. Miał jedną ideę, jednego boga — rozkaz. Czuł się zawiedzionym,

że jego podkomendnym rozkaz nie wystarczał, by uchronić ich dusze od kału i krwi. Przez cały czas marzył o współpracownikach, dla których idea rozkazu byłaby nagrodą samą w sobie. Jedyną osobą, o której pisze z nienawiścią, to jego własny oficer raportowy, Sas, Palitsch, stary Parteigenosse, który stał swój zaczął także w Sachsenhausen. Zarzuca mu nieszczerść, dwulicowość, kradzież pieniędzy, ubrań, złota, pijactwo, intrygantwo, morderstwa z kaprysu i upodobania, rozpustę, wreszcie stosunek z lotewską Żydówką, co dopełniło już czarę goryczy. Hoess pisze o swoim pomocniku, że ten był tak zatwardziały psychicznie, że mógł zabijać bez przerwy o niczym nie myśląc. „Obojętny i spokojny z niewzruszoną twarzą dokonywał swego okropnego dzieła”. Palitsch jedyny spośród biorących bezpośredni udział nie zwracał się do niego, by mu się zwierzyć ze swoich przeżyć.

Każdemu z załogi oświęcimskiej Hoess miał coś do zarzucenia. Co było motorem tych zarzutów? Prawdopodobnie to, że Hoess reakcję Palitscha i innych uważał za bardziej na miejscu, za bardziej, jeśli można tak powiedzieć, ludzką. Brodząc po złocie zwożonym

ADOLF RUDNICKI

Niebieskie kartki

WIECZNA PAMIĘĆ

z całej Europy, kradli je dla siebie; pędząc nagie dziewczęta do komór, zatrzymywali niektóre z nich dla siebie, aby je dopiero potem zabić. (Jeden z polskich pamiętnikarzy pisał: Nie każdy widział jednego dnia dwadzieścia osiem tysięcy nagich kobiet); przebywając w oparach zbrodni i upodlenia stali się zbrodniarzami. Częste musiały być chwile, kiedy inne zachowanie się w tej kloace i kaźni samemu Hoessowi musiało się wydawać absurdem. Ale charakteru i reakcji człowiek nie wybiera sobie nawet w obozie śmierci, i w tym oceanie upodlenia Hoessowi nie przestaje przyświecać ideał załogi nie spodłonej, nierozpusznej, nie kradnącej, nie intrygującej, zagrzewanej do swego ciężkiego rzemiosła jedynie i wyłącznie przez ideę rozkazu. W głowie miał wizję zimnej beznamiętnej maszyny ożywionej tylko duszą rozkazu. Czytając pamiętnik wie się na pewno, że niejedyną myśl w rodzaju oddziałów specjalnych, przemówień, ręczników z mydłem, ubrań składanych na kupkę, wiązania butów, by ofiary do samego końca utrzymać w mniemaniu, że idą do łaźni, zrodził się właśnie w zimnej, kalkulatorskiej głowie Hoessa, administratora i organizatora, który wybrał sobie za filozofa Heinricha Himmlera. Brodzić po złocie, lecz nie tknąć go, zabijać dzieci na zimno, bez złości, patrzeć na kobiety bez pożądania, kochać jedynie i wyłącznie ideę rozkazu, oto wizja komendanta Oświęcimia, kto wie, czy nie potworniejszego jeszcze niż Palitsch.

II.

Wsparty o rozkaz, czuje się rozgrzeszonym, uważa się bowiem za żołnierza. Budowniczy nowego rozdziału w historii ludzkiej pt. „Obozy śmierci”, czuje przy tym, jak przystało na kogoś z „narodu filozofów”, stałą potrzebę wywyższenia tego co robi, deifikacji kaźni, deifikacji dna.

„Dniem i nocą byłem obecny przy wyciąganiu i spalaniu zwłok; godzinami przyglądałem się wyrzucaniu zębów, obcinaniu włosów i wszelkim innym okropnościom. Przebywałem godzinami wśród odrażających zapachów... Przyglądałem się przez okienko komory gazowej samej śmierci... Na mnie były zwrócone oczy wszystkich... Naczelną przywódcą przysłał mi do Oświęcimia... Niektórzy spośród tych, którzy tak gorliwie rozprawiali o konieczności zagłady, stawali się milczącymi i cisi... Zapytano mnie, jak ja i moi ludzie możemy utrzymać. Odpowiadałem zawsze, że rozkaz musi być wykonany z żelazną konsekwencją i wobec tego wszystkie ludzkie odruchy muszą zniknąć...”

Źródłem rozkazu był naczelną dowódca SS, jego rozkaz trzymał Hoessa przy wzierniku komór gazowych. W dniach, które należały do najpiękniejszych w życiu wielu milionów ludzi na świecie, w dniach, kiedy Czerwona Armia parła do „legowiska zwierza, by go tam dobić”, w Flensburgu następuje ostatnie spotkanie z rozkazem - bogiem.

„Nigdy nie zapomnę ostatniego meldunku i pożegnania z naczelnym dowódcą SS. Był w najlepszym humorze, a tu ginął świat, nasz świat... Zrozumiałbym, gdyby powiedział: A więc, moi panowie, teraz już koniec, wicie, co macie robić... Takie powiedzenie odpowiadałoby temu, o czym przez całe lata prawil kazania

SS-manom, a mianowicie, że należy poświęcić siebie dla idei. Ale ostatni jego rozkaz brzmiał: Dajcie nura do armii”.

III.

Trzecia Rzesza przeżywała swoje ostatnie dni, obozy ewakuowały się. Hoess widział obrazy, „które wywarły na nim tak wielkie wrażenie, że póki życia ich nie zapomni”. „Na skrajach dróg leżały nie tylko trupy więźniów, lecz również w wielkiej ilości trupy uciekinierów, kobiet i dzieci”. Przy wejściu do jakiegś wsi widział kobietę, która kołysała martwe dziecko. Kobieta była obłąkana. To nie obrazy wywarły na nim tak wielkie wrażenie — wesz czuje, że zbliża się jej koniec.

Po drodze w jakiegś zagrodzie dowiedział się, że fuehrer nie żyje. Miał przygotowaną truciznę dla siebie i dla żony. Nie zdecydował się, ze względu na dzieci. Później na wyspie Sylt, gdzie ukrywał się jako bosman Franz Lang, doszła go wiadomość o śmierci jego „ewangelii”, Himmlera. Po raz drugi postanowił się otruć, nie pisze jednak, dlaczego tego nie zrobił. Kiedy przyszła po niego Field Security Police, nie posiadał trucizny, stłukła mu się dwa dni przedtem. Jest to jedyne miejsce, które wydaje się świadomie skłamanne. Można spalić dwa i pół miliona ludzi i nie móc znieść — pośmiertnie! — podejrzania o tchórzostwo.

Więzień oświęcimski Tadeusz Borowski, którego cechowała Van-Goghowska ostrość widzenia świata, pisze:

„...nadzieja każe ludziom apatycznie iść do komory gazowej, każe nie ryzykować buntu, pograża w martwość. Ta nadzieja rwie więzy rodzin, każe matkom wyrzekać się dzieci, żonom sprzedawać się za chleb, mężom zabijać ludzi. To nadzieja każe im walczyć o każdy dzień życia, bo może właśnie ten dzień przynieść wyzwolenie”.

Hoess zwleka z połknięciem fiołki z cyjankiem nie tylko dlatego, że łatwiej zabić dwa i pół miliona ludzi niż siebie, nie tylko z tchórzostwa i z ślepej żądzy życia, ale także dlatego, że — nawet on — nie stracił nadziei. W swym ostrowidztwie dotarł już może do naszych dni, kiedy dwa i pół miliona spalonych stało się suchą kłopotliwą cyfrą, a fachowiec od obozów śmierci, poszukiwany i potrzebny...

IV.

W Oświęcimiu tkwi antycypacja potem wynalezionej bomby atomowej. Skala oświęcimskiej zbrodni przenosi ją bardziej niż jakiegokolwiek inne zjawisko z okresu drugiej wojny światowej bliżej dnia dzisiejszego, kiedy środki zniszczenia zagrażają nie tylko milionom, ale setkom milionów. Lotnik wyposażony w bombę wododorową bardziej przypomina komendanta Oświęcimia niż żołnierza takiego, jakiego dotąd znała historia. Lotnik ten na swoje niesprawiedliwienie będzie miał to samo, co Hoess — mistykę rozkazu. Tej mistyki ludzkość fizycznie nie zniesie, jeśli się zawczasu nie obawuje wszelkimi możliwymi środkami, jeśli poprzez wszelkie granice zawczasu nie pójdzie wielki, ostrzegawczy głos: nie wolno!

Jest moim głębokim przekonaniem, iż — między innymi — czytanie i rozpowszechnianie książek, mówiących nagą prawdą o obozach, nie unikanie tych książek, jak tego chcą niektórzy, lecz właśnie rozpowszechnianie, a nawet głośne ich czytanie na wielkich stadionach wielkich miast, w obliczu skupionych w milczeniu tłumów, czytanie książek o nieludzkich katuszach, jakie znosili nasi najbliżsi po to, żebyśmy my wreszcie doczekali się pokoju, czytanie książek, których rangi i wagi nie da się wymierzyć w kategoriach sztuki, które nie są ani dobre, ani złe, które przede wszystkim są obowiązujące, może w ludziach na nowo i z siłą obudzić nienawiść do okrucieństw, do wojen, do faszyzmu i nauczyć ich cierpliwości i dobrej woli w obliczu nowych, nieznanych, trudnych zadań stojących przed rodzajem ludzkim, prowadzących albo do nocy, jakiej świat do tej pory nie znał, albo do jasności, jakiej także dotąd nie znaliśmy.

NASTĘPNY NUMER TYGODNIKA „ŚWIAT” UKAŻE SIĘ W ZWIĘKSZONEJ OBJĘTOŚCI Z DATĄ 26.XII.1954 — 2.I.1955. CENA 2.— ZŁ.

PISZA: M. Brandys * J. Ficowski * J. Grygolunas * K. Korcelli * T. Kubiak * A. Międzyrzecki * A. Rudnicki * A. Słonimski * J. Szela * A. M. Swinarski * J. Toeplitz * J. Waldorff * M. Żuławski.

RYSUJA: M. Berezowska * W. Ficowska * K. Ferster * E. Lipiński * Z. Lengren * F. Topolski * I. Witz.

FOTOGRAFUJA: K. Jarochowski * J. Kosidowski * W. Prażuch * W. Sławny.

PONADTO W NUMERZE: Sport * Świat o tym wie * Film * Szachy i Rozrywki * Humor * Korespondencje zagraniczne * Co spostrzegła Syrenka * Tylko dla kobiet * „Świat” przypomina.



JESIEŃ W LONDYNIE

Od naszego londyńskiego korespondenta

PRASA i „grube ryby“ z prawdziwym samozaparciem (bo i mgła, i deszcz, i w ogóle nudno...) znów wyległy na lotniska, aby witać przybywających rozmaitych mężów stanu. A więc pana Edena, pana Attlee i — po raz nie wiadomo który — najbardziej chyba wędrującego z wędrujących polityków, pana Dullesa. Pana Dullesa spotkała na lotnisku miła niespodzianka. Ujrzał mianowicie, po wyjściu z samolotu, rój barwnie ubranych podlotków, powiewających chusteczkami, bukietami kwiatów i wydających radosne okrzyki. Trzeba mu było jednak wytłumaczyć, że to, niestety, nie na jego cześć, lecz na powitanie Frankie Laine'a, najnowszego amerykańskiego śpiewaka szlagierów, który przyleciał tym samym samolotem co i jego minister spraw zagranicznych.

W tymże okresie jesiennym znalazło się w naszym mieście wielu innych gości. Bardziej, naszym zdaniem, wybitnych, dla których jednak nie wywalono ani kilometrów czerwonych dywanów, ani nie wydobyto z piwnic beczek wina...

Dwukrotnie gościliśmy tutaj w ciągu ostatnich kilku miesięcy wspaniały teatr kukiełkowy Obrazcowa; bawił u nas zespół tancerzy ze Związku Radzieckiego — „Bieriozka“; byli radzieccy szachiści, którzy po raz pierwszy od roku 1930 zjawili się na dorocznym turnieju szachowym w Hastings. Przyjechali radzieccy ogrodnicy, by przedyskutować z naszymi skomplikowane zagadnienia hodowli róż i innych kwiatów. Inspektorzy sanitarni z ZSRR brali udział w dyskusjach nad systemami kanalizacyjnymi i ich usprawnieniem, radzieccy nauczyciele zwiedzali nasze szkoły i omawiali z naszymi nauczycielami zalety i wady obu systemów pedagogicznych. Kilka tygodni temu bawił w Londynie zespół radzieckich wioślarzy. Ich sprawność fizyczna zachwyciła naszych reporterów sportowych, lecz nie na tym koniec: ku zdumieniu wszystkich, goście pobili naszych sławnych mistrzów wioślarstwa na głowę, a raczej o kilka długości.

Ponadto na Zjazd Orientalistów w Cambridge przybyli po raz pierwszy od lat niemal dwudziestu orientaliści ze Związku Radzieckiego, a w Sheffield spotkali się fizycy atomowi z Polski, Związku Radzieckiego i kilku krajów demokracji ludowej.

Wszystko to napawa nas otuchą, wnosi nowe elementy do dyskusji naukowych, pozwala zapoznać się przynajmniej pobieżnie z pewnymi elementami sztuki i nauki radzieckiej i innych krajów demokratycznych. Jakże te kontakty są potrzebne, jak pożyteczne!



NIGEL LAMBOURNE: ODPOCZYNEK

Podróże te nie są zresztą jednokierunkowe: i nasi rewizyty mają wpływ na kraje demokracji ludowej. Te rewizyty wywierają często niespodziewany wprost wpływ na skądinąd spokojnych, flegmatycznych i niełatwo dających się oczarować moich rodaków. Kenneth Wright, dyrektor departamentu muzycznego Telewizji Brytyjskiej, był w Moskwie wczesną jesienią. Zabrał ze sobą grupę utalentowanych muzyków angielskich i wraz z nimi objeżdżał szereg miast radzieckich. Z tej podróży Wright — zapalony amator-fotograf — przywiózł film, który dwukrotnie puszczał na naszych ekranach telewizyjnych. Film jest doskonały i niezwykle ciekawy. Dyrektorzy naszej telewizji początkowo nie chcieli go wcale pokazywać, motywując swoje stanowisko tym, że może on być zaklasyfikowany jako „propaganda“. Rzeczywiście — może tak być, bo film ten pokazuje same przyjemne zjawiska. Ale nigdy jakoś się jeszcze tak nie zdarzyło, by jakaś książka czy film o Związku Radzieckim, nastawiony tendencyjnie i ukazujący ten kraj w czarnych barwach — uznany był przez tych panów za „propagandę“...

Niedawno powróciła z Moskwy wycieczka wybitnych lekarzy angielskich, a zaraz potem udała się tam grupa wybitnych adwokatów.

Poza tym architekci nasi byli w Polsce, parlamentarzyści jeździli po wszystkich krajach demokracji lu-

dowej. Słowem, nie wyczerpując listy wycieczkowiczów, chcę tylko powiedzieć, że takiego ruchu wahańowego nie było chyba od dobrych dwudziestu lat.

W czasie dorocznego festiwalu sztuki w Edynburgu dużym powodzeniem cieszyły się filmy dokumentalne z Węgier, film radziecki dla dzieci „Czuk i Hek“ i polska „Piątka z ulicy Barskiej“. Ten ostatni film idzie w tej chwili zresztą w jednym z większych kin londyńskich.

Również bardzo gorąco przyjęto na tym festiwalu dwa filmy amerykańskie. Jeden z nich — „Sól ziemi“, film o strajku robotników kopalni cynku w stanie New Mexico, zrealizowany został przez grupą artystów wyrzuconych z wielkich firm hollywoodzkich na skutek donosów i pod zarzutem sympatyzowania z komunizmem. Stworzyli oni dzieło naprawdę znakomite, większość jednak krytyków, z małymi tylko wyjątkami, wystawiła mu złe świadectwo, co automatycznie zepchnęło ten doskonały film do małych kin peryferyjnych. Drugi film, też amerykański — „Czasy powojenne“ — porównać można tylko z takimi dziełami filmowymi jak „Towarzysze broni“ Renoira czy „Na zachodzie bez zmian“ — Remarque'a.

Jeżeli już o filmie mowa, to warto zaznaczyć, że zaczął tu niedawno wychodzić postępowy magazyn filmowy pt. „Film and Filming“. Numer listopadowy, poświęcony kinematografii włoskiej, był naprawdę bardzo interesujący.

Kilka tygodni temu odbyła się londyńska premiera filmu Renato Castellani pt. „Romeo i Julia“. Wszyscy krytycy zgadzają się wprawdzie, że film ten jest bardzo poetycki i ma wspaniałe zdjęcia, ale gdzie się podział nasz, tak kochany i szanowany w Anglii, Szekspir? Nie ma go nawet na liście autorów filmu. Uczucia narodowe moich rodaków zostały poważnie podrażnione, ale mimo to jestem pewna, że romantyka i piękno plastyczne tego filmu zapewni mu długotrwałą żywotność na naszych ekranach. „Wszelkie podobieństwo między filmem tym a sztuką Williama Szekspira o tym samym tytule jest czysto przypadkowe“ — pisał — nie bez racji — jeden z krytyków.

Wreszcie z dziedziny życia kulturalnego mamy do zanotowania tej jakże interesującej jesieni nagły wybuch akcji protestacyjnej przeciw „comicsom“, jaka rozgorzała na naszej wyspie. 27.000 sprzedawców gazet z całej Anglii zwróciło się do władz o spowodowanie natychmiastowego zakazu sprzedaży tej amerykańskiej makulatury, krzewiącej wśród młodzieży sadyzm i zboczenia. Rząd jednakże zasłania się starą śpiewką, że nie chce „naruszać wolności prasy“...

Chociaż amerykańskich „comicsów“ importować do nas nie wolno, wydawca angielski może bez trudności nabyć... amerykańskie matryce. W rezultacie — można dziś na naszej wyspie kupić za kilka groszy najstraszniejsze, najkoszmarniejsze, najbardziej obrzydliwe zbrodnicze historyjki obrazkowe „made in USA“. Mimo że wielu sprzedawców odmawia rozpowszechniania tego paskudztwa, rozchodzi się ono w milionach egzemplarzy.

Ale przejdźmy do bardziej ludzkich zagadnień. Przed kilkoma dniami obejrzałem sobie wystawę młodego malarza Carela Wrighta i uderzyła mnie specyficznie angielska tematyka jego malarstwa. Zapytaacie zapewne, co w tym dziwnego? Otóż nasi malarze od długiego już czasu szukają tematów w innych krajach i klimatach. Przeciętna wystawa malarska w mglistym Londynie daje nam widoki Francji, Włoch, Hiszpanii, pełne słońca i egzotycznej dla nas roślinności, portrety południowych, opalonych ludzi.

Już w kilka lat po wojnie młodsze pokolenie artystów zaczęło przełamywać tę maniérę, a ostatnio coraz więcej malarzy zajmuje się rodzimą tematyką i pejzażem. Malarze ci odeszli też od abstrakcyjnych czy surrealistycznych form epoki międzywojennej. Wymień tu choćby kilku. Jest tam więc Joseph Herman, Jack Smith, Bratby, Middleditch. Herman przez czas dłuższy mieszkał wśród górników walijskich i choć obrazy jego nie pozbawione są cech romantycznych, a nawet pewnej dozy symbolizmu, w całości malarstwo jego odznacza się wielką siłą i ciepłem uczucia. Jednym z wybitnych angielskich grafików współczesnych jest Nigel Lambourne.

Jest w Anglii także grupa malarzy postępowych, do której należą również i malarze komuniści. Grupa ta urządza corocznie wystawę zbiorową. I w tym roku w dzielnicy Battersea od kilku tygodni można oglądać rezultaty ich pracy. Są tam obrazy George'a Poole i Erna Brooksa, którzy razem udali się na dłuższy pobyt do Rhonda Valley w Południowej Walii, znanego okręgu górniczego. Obydwaj są pochodzenia robotniczego. Poole jest właściwie samoukiem, a w ciągu ostatnich kilku lat zrobił on ogromne postępy. Rhonda Valley nie jest Poolowi obca: spędził tam wiele lat swej młodości, ludzie, których maluje, są mu znani. Rozumie ich, zna życie, ich codzienne radości i troski.

Ta grupa artystów pracuje też nad wielkimi malowidłami ściennymi, nad zagadnieniem artystycznego plakatu, nad dekoracją sal, w których odbywają się zebrania polityczne. W rezultacie coraz częściej mamy możliwości podziwiania na meetingach doskonałych dzieł sztuki, nawiązujących do omawianego tematu. Wydaje mi się, że jest to bardzo ważna dziedzina, w której mogą wypowiadać się artyści.

E. C. BRENT



GEORGE POOLE: POWRÓT Z NOCNEJ SZYCHTY



„W sklepie z zabawkami trzeba się z nami liczyć, proszę tatusia! Wyraźnie widzę ciekawą grę. Przecież to ja się nią będę bawić”. Chociaż kto wie? Często dziecięcymi zabawkami bawią się rodzice... oczywiście gdy dzieci tego nie widzą.



Babcia już zapomniała jakie lalki są najlepsze. Sama najchętniej kupiłaby murzynka, bo jest praktyczny — „niebrudzący”. A jak zadecyduje wnuczka? Z jej radą trzeba się poważnie liczyć. Jest w tej dziedzinie najlepszym specjalistą.

WEDŁUG GUSTU

Zdjęcia: K. JAROCHOWSKI i J. KOSIDOWSKI



Nawet kilometrowy ogonek nie zniechęci, gdy obsługuje taka ekspedientka. A jeszcze jeśli tak uprzejma jak ładna...



Ta będzie dobra. Ale nie goła i bosa! Trzeba pomyśleć jeszcze o toalecie. Tylko w czym jej będzie do twarzy?

Oto miesiąc najmielszych zakupów. Bo w grudniu kupuje się nie tylko to, co potrzebne, ale i to, czym można uradować bliskich. Myślą więc o prezentach dorośli i dzieci. Te ostatnie są w tym okresie nie tylko szczególnie ważnymi klientami, ale służą radą i pomocą dorosłym — tym samym, którzy przez cały okrągły rok uważają się za znacznie mądrzejszych i bardziej doświadczonych... Naszemu fotoreporterowi udało się utrwalić kilka scen z warszawskich sklepów. Popatrzcie uważnie: — tam, gdzie małych doradców nie ma, dorośli mają nie lada kłopot z wyborem...

Do prawdziwych polowań na dziki i jelenie — jeszcze bardzo, bardzo daleko. Na razie małemu myśliwemu wystarczy ta wiatrówka. Gorzej tylko, że teraz ofiarą celnych strzałów padnie niejeden obraz czy nawet portret rodzinny...



Najwięcej kłopotu mają ekspedientki w działach odzieżowych. Przeważnie wszyscy kupują prezenty, nie ma więc osoby, dla której przeznaczony jest upominek, a przede wszystkim brak także i miary. Trzeba się głęboko zastanowić, aby wybrać dobrze.



TRASĄ „KWIATÓW POLSKICH“

Dokończenie ze str. 7

Napisze po latach. Pasaż Szulca to najwcześniejsze lata dziecięce:

*Tu jako tygi od ziemi brzdąc,
Zdzierałem portki i buty,
Tu belfer, na czym świat stoi klnąc,
Krzyczał: „Ty leniu zakuty!”*

„Belfrem“ był korepetytor przygotowujący małego Julka do wstępnej klasy gimnazjum. Lecz „smętne chodzenie do budy“ to inny już okres i inne mieszkanie.

*Do dzisiaj stoi ten słynny dom:
Andrzeja numer czterdziesty.*

Stoi, opatrzonej teraz numerem 42. Słynny, bo upłynął w nim cały wiek chłopięcy i najwcześniejsza młodość. Słynny, gdyż

*Tu usłyszałem burz pierwszych grom
I pierwsze muzy szelesty.*

Nie od razu wyszło to na jaw. Kiedy czarny, chudy wyrostek wędrował do szkoły, kiedy biegł do sklepu na róg po sól czy naftę — nikt nie domyślał się jeszcze, że zanim przejdą lata nauki, młodziutkie czoło uwieńczy blask nieodstępnej już odtąd sławy.

Chodził więc sztubak na Mikołajewską (dziś Sienkiewicza), gdzie stało gimnazjum. Dwupiętrowy budynek, w nieodczownym „kaziennym“ stylu. Mało się nawet zmienił.

Ale szkoła to wcale nie wszystko. Przecież właśnie w najbliższym sąsiedztwie, przy tej samej ulicy, rozegrało się doniosłe zdarzenie:

*„tu mi serce na wieczność skradł
Ktoś cichy i modro-złocisty,
I tu przez siedem ogromnych lat
Pisałem wiersze i listy.*

W ciągu tych siedmiu lat przyszła I wojna światowa, wkroczenie Niemców i wyjazd do stolicy. Pamiętamy:

*Nie miałem serca dla Warszawy,
Gdy opuszczałem miasto Łódź...*

Opuścił jednak i to na zawsze. Potem były już tylko rzadkie przyjazdy i częste, bezustanne powroty wspomnieniem.

*Weź duży szklany słój pamięci
I nasyp chciwych wpatrzeń swoich...
I popłynąłem, nowy Kolumb...*

Płynęmy z nim razem:

*Sto razy tam i sto z powrotem
Pomiędzy Krótką i Nawrotem.*

Dlaczego? Ach, to przecież zamierzchnie czasy, gdy każde miasto, a więc i Łódź, miało swe spacerowe miejsca. Piotrkowską płynął spacer łodzian, od Krótkiej do Nawrotu. Lecz pamięć szybko się odrywa:

*I dalej idę, chmurny młodzik,
Dumając o fabrycznej Łodzi,
O rozpalonej nędzy łódzkiej...*

Tutaj już pamięć pozostanie.

...chodził sztubak na Mikołajewską do gimnazjum...

...przy „Luwrze“, tam gdzie Petersilge...



T W Ó R C Z A INSCENIZACJA

MAMY jeszcze w świeżej pamięci niedawną wizytę Theatre National Populaire Jean Vilara. Teatr ten bardzo w Polsce się podobał. Nic dziwnego — reprezentuje bowiem wysokie wartości artystyczne. Ale na zachwyty nad nim — czasem nawet utrzymane w tonie przesadnym — wpłynął jeszcze inny fakt. Zobaczyliśmy coś nowego, odmiennego od tego, co oglądaliśmy w naszych teatrach, które — poza nielicznymi wyjątkami — odznaczają się szarą i jednostajnością w inscenizacjach kłócących się nieraz z charakterem wystawianego utworu. Dlatego też na tym tle warto zwrócić uwagę na skromne przedstawienie komedii Lope de Vegi „Młyn“ w Teatrze Ludowym w Warszawie — przedstawienie, które dzięki ładnej, poetyckiej inscenizacji Maryny Broniewskiej jest pewnym świeżym akcentem w stołecznym życiu teatralnym.

Przypomnienie Vilara nasunęło się tu nieprzypadkowo. W przedstawieniu „Młyna“ można by doszukać się pewnych podobieństw do inscenizacyjnego stylu TNP. „Młyn“ jednak przygotowany był przed wizytą Vilara. Nie to jednak jest ważne. Zresztą Vilar nie „wynalazł“ swego stylu, ale twórczo przetworzył elementy dawnego teatru ludowego i osiągnięcia francuskiej tzw. „wielkiej awangardy“. Koncepcja insceni-

zacyjna Broniewskiej operuje pomysłami, które już nieraz w teatrze stosowano, ale stanowi harmonijną całość i — co najważniejsze — dobrze odpowiada stylowi utworu.

Jakie to są pomysły? Brak jednej, normalnej kurtyny. Trzy kurtyny wewnętrzne — dwie po bokach, jedna w środku — unoszące się w górę za dotknięciem ręki występujących aktorów. Fragmenty dekoracyjne częściowo przesuwane w oczach widzów. Umowność w przenoszeniu akcji z miejsca na miejsce. Prostota i oszczędność w używaniu wszelkich środków teatralnych. Wysunięcie na pierwszy plan słowa poety. Pozostawienie wielu szczegółów do uzupełnienia wyobraźni widza. Zrezygnowanie z wszelkich dodatków, które nieraz mają „urozmaicać“ przedstawienie przeładownością je piosenkami, muzyką, płasami i różnego rodzaju figlami. Powściągliwość w grze, w kostiumach, w operowaniu efektami świetlnymi.

Jakie są tego wszystkiego wyniki? Komedie de Vegi błyska raz po raz swymi urokami. Napisał ją autor dla teatru operującego podobnymi środkami. Toteż w takim przedstawieniu jej sens artystyczny może ukazać się w pełni. „Młyn“ wystawiony w konwencji pseudorealistycznej z troską o prawdziwość i autentyczność każdego szczegółu i każdej sytuacji, o prawdziwą psychologię każdej postaci, z rozbudowanymi dekoracjami i wieloma odsłonami byłby sztuką nudną, w której drażniłaby sztuczność i nieprawdopodobieństwo. Pokazany w takiej koncepcji inscenizacyjnej, jaką widzieliśmy w Teatrze Ludowym, stał się uroczą bajką poetycką, w której nie pyta się o prawdopodobieństwo i której ludzka prawda mieści się w innego rodzaju kategoriach.

Poprzez historię miłości przedstawioną w „Młynie“ Lope de Vega pokazał układ drabiny społecznej feudalnej Hiszpanii XVI i XVII wieku. Miłością do pięknej Celi pałają: cyniczny król, któremu dla zaspokojenia jego starczych namiętności nic co podle nie jest obce, jego syn, infant Arystyp, który korzysta ze swego stanowiska, aby wygnaniem i przemocą zgnębić swego szczęśliwego rywala, hrabia Prospero — ów szczęśliwy rywal, który musi uciekać i kryć się przebrany za parobka w młynie wśród plebejuszów. Celia i Prospero po różnych perypetiach łączą się. Król zaplątany w intrygę musi się wycofać. Infant przestaje się kochać w Celi i serce swe zwraca ku przeznaczonej mu na żonę księżniczce. Wszystko się dobrze kończy — raczej jak w bajce niż jak w ówczesnym życiu. Ale prawda komedii Lope de Vegi tkwi w pokazaniu uczuć ludzkich i nieludzkich stosunków społecznych. I ta prawda przebiega z ujęcia inscenizacyjnego w Teatrze Ludowym.

Dzieje się tak nawet mimo że reżyseria (Maryna Broniewska i Władysław Hańcza) nie potrafiła właściwie ustawić postaci i mimo że aktorsko spektakl jest słaby. Jednakże dobra koncepcja inscenizacyjna i prostota gry — przy wszystkich jej niedostatkach — sprawiły, że przedstawienie podoba się. Warto je zobaczyć i warto podkreślić, że warszawski Teatr Ludowy mimo skromnych środków, jakimi rozporządza, wcale dobrze sobie radzi z zadaniami, które przed nim stoją. Odważnie i — jak widać — z częściowo pomyślnym rezultatem sięgnął tym razem do dorobku znakomitego pisarza hiszpańskiego, który dopiero w Polsce Ludowej został dla nas „odkryty“, a którego w Warszawie dotychczas jeszcze mało grano.

AUGUST GRODZICKI

*Idą, dach w dach i głowa w głowę
Dumnym pochodem trzypiętrowym
I już kołysze się nasz dom,
I płynie, morzem uniesiony,
A za sztandarem ciągnie śpiew:*

*„Niesie on
zemsty grom,
ludu gniew...”*

Czas mija, nadszedł kres naszej wędrówki. Nim opuścimy „miasto Łódź“, zobaczmy tylko jeszcze słynnego „Konia co na dachu rdzewiał“. Niegdyś widać go było z okien mieszkania na Andrzeja. Dziś widok zasłania mur. Ale koń stoi, zdobi jak dawniej dach Instytutu Weterynarii i jak dawniej — rdzewieje. Więc na zakończenie przypomnijmy prośbę wystosowaną przez tego, kto łódzkiego Pegaza uwiecznił w poezji:

*... Niżej podpisany
Tamtejszy uczeń, pętał, mikrus,
Znany obibok i drapichrust,
Zawalidroga i łachmytek,
Ma zaszczyt prosić, żeby oną
Cudowną szkapę uskrzydloną
Uznało Miasto za zabytek.
Niech zawsze ma swój obrok gwiezdny,
Kastalską wodę z rzeki Łódki,
Niechaj ogląda ją przyjezdny,
Kiedy do Łodzi się wybierze
(Trzy gwiazdki z nieba w Baedekerze).*

Trzy z owych gwiazdek, które tak obficie rozsypał na trasie swojego życia.

JAN BALUCKI



FOTO

KORRESPONDENCI DONOSZA

PIONIERSKIE DNI



Mieczysław Put i Karol Kordasz dziś jeszcze ustawiają stogi tubinu, ale już wkrótce...

Zimny, mroźny, porywisty wiatr bije deszczem w twarz. Daleko na horyzoncie pół pochylone sylwetki kilkudziesięciu młodych ludzi ubranych w szare kombinezony i wysokie „gumiaki”. Taki obrazek często spotykamy w województwie szczecińskim, koszalińskim, zielonogórskim. Dziewczeta chłopcy z różnych stron kraju przyszli tu, aby stanąć do trudnej walki z odlogami. Już dzisiaj mają poważne osiągnięcia.

I tak np. pionierzy z PGR Szczytno w woj. koszalińskim na trzy dni przed terminem ukończyli wykopy ziemniaków. Ich dniówka w październiku wyniosła przeciętnie 35-40 złotych. Na zaciąg pionier-

skim młodzi ludzie mogą też zdobyć nowy zawód. Np. Mieczysław Put i Karol Kordasz z PGR Sidiów/żelazna Brzoza, woj. zielonogórskie, zostali skierowani w uznaniu za dobrą pracę na kurs traktorzystów. Gdy wrócą, zajmą miejsca przy kierownicach.

Są jednak również niedociągnięcia. Świetlica PGR Szczytno nie jest jeszcze dostatecznie zaopatrzona w prasę i gry. Nie pamięta o tym również dyrekcja zespołu PGR Rychnowy w woj. koszalińskim. W gospodarstwie Kiepin nie zabezpieczono koparek do ziemniaków, wskutek czego maszyny często się psuły, a pionierzy musieli przerywać pracę.

L. Wyrwicz, Kraków

WSPÓLNY DOM ZASTĄPIŁ IM RODZINNY

Przyjechali tu cztery lata temu z różnych stron kraju. W czasie ostatniej wojny utracili domy, rodziców, a teraz Grudziądz miał się stać ich miastem rodzinnym.

Młodzi wychowankowie Państwowego Zakładu Wychowawczego od pierwszych dni przystąpili do intensywnej pracy.

Zbudowali dosłownie całe gospodarstwo. Powstał budynek szkolny, park, cieplarnia, założono kanalizację. Także boisko sportowe, sala gimnastyczna oraz gabinety pomocy naukowych — to ich własne dzieło. W pracowniach krawieckich, szewskich, ogrodniczych chłopcy zdobywają zawód. Zaj-

mują się również hodowlą inwentarza domowego, a także nutrii i jedwabników. Szczególną troską otaczają jedwabniki. Stosują nowe metody hodowli, które przyczyniają się rokrocznie do wzrostu plonów.

Państwowy Zakład Wychowawczy w Grudziądzu zastępuje swoim mieszkańcom dom, a nauczyciele i wychowawcy otaczają ich serdeczną opieką.

Jan Rączy, Grudziądz



Kiedy tę łódź zastąpi się promem?

Alfons Wysocki, Kwidzyn

BARBURKA U WARSZAWSKICH PRZEDSZKOLAKÓW



Wesołą górniczą piosenką rozbrzmiewało w tym dniu całe przedszkole.

W dużej sali przedszkola PPK „Ruch” w Warszawie „maluchy, średniaki i starszaki” uroczyście obchodzili święto górnika. Chłopcy, poprzebierani w śliczne czarne czapki z dużymi pióropuszcami, wyglądali jak „prawdziwi górnicy”. W roli tej czuli się też doskonale, i poważnie, z przejęciem śpiewali słowa górniczej piosenki:

„Zgrabny mundur zdobną guziki

CHATA, KTÓRA PAMIĘTA JESZCZE WIEK XVII...

W dawnych czasach mieszkańcy Brennej trudnili się pasterstwem, trochę rolnictwem wypalaniem węgla drzewnego.

Miejscowość Brenna liczy kilkadziesiąt lat. W centrum wsi, nad potokiem Jatny, zachowała się jeszcze modrzewiowa kurna chata góralska, zbudowana z początku XVII wieku. Stanowi ona obecnie zabytek o wielkiej wartości historycznej i naukowej z zakresu budownictwa drewnianego.

Czterowiekowa chata modrzewiowa jest rzadkim zabytkiem na terenie Śląska. Zostanie ona przeniesiona na teren powstającego w Chorzowie Wojewódzkiego Parku Kultury i Wypoczynku.

Jan Zubik, Stalinogród



Modrzewiowa kurna chata pamięta wiek XVII.

PROSTY, A REWELACYJNY WYNALEZEK

Jan Rostowski, kinooperator „Adrii” w Morągu (woj. olsztyńskie), dokonał ciekawego wynalazku. Skonstruował on nowy typ projektor filmowy, w którym zmienił system przesuwania taśmy filmowej. Dotychczas taśma przesuwała się

ruchem skokowym. Przez usunięcie tzw. krzyża maltańskiego w projektorze Rostowskiego posuw taśmy odbywa się miarowym ruchem ciągłym.

Wynalazek został uznany przez Centralny Urząd Kineematografii za nadający się do eksploatacji. Prototyp projektoru był na Wystawie Techniki i Wynalazczości we Wrocławiu, a wynalazca otrzymał nagrodę pieniężną.

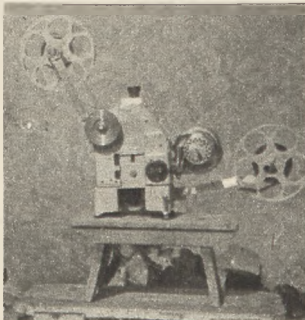
Rostowski nie spoczął jednak na laurach. Kilka dalszych miesięcy poświęcił ulepszaniu swego wynalazku.

Model obecny waży dwa i pół kilograma i zadziwia prostotą konstrukcji. Składa się on z kilkudziesięciu zaledwie, zamiast kilkuset części. Rewelacją nowego projektoru jest to, że nadaje się do wyświet-

lania filmów wąskotaśmowych nie tylko w małych salach, lecz z powodzeniem może znaleźć zastosowanie w normalnej sali kinowej. Daje bowiem na ekranie jasny obraz wielkości cztery i pół metra kwa-

dratowego. Jest więc groźnym konkurentem skomplikowanego projektoru szerokotaśmowego. Koszty produkcji zaś są bardzo niskie — nie przekraczają tysiąca złotych.

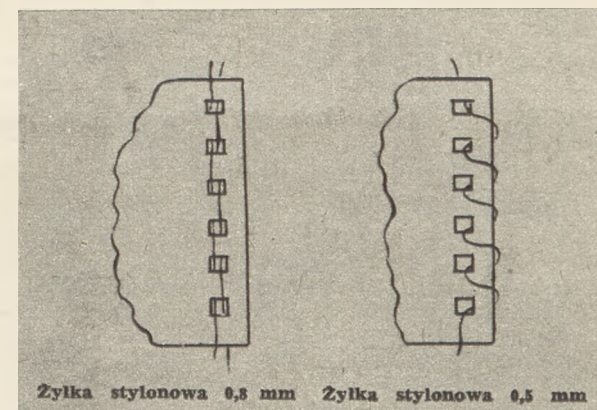
J. Jankowski, Olsztyn



Udoskonalony projektor.

FOTOGRAFIA NA CODZIEN

TAŚMA DO „CORREXU”



Taśmy do wywoływania filmów w puszkach typu „Correx” po pewnym czasie niszczą się, stają się kruche, łamliwe. Na naszym rynku fotograficznym brak obecnie tych taśm celuloidowych i fotoamatorzy posiadający „Correxy” stają czasem bezradni wobec niemożności nabycia nowej taśmy. A przecież łatwo temu zaradzić własnymi siłami.

Nasz Czytelnik, inż. Bury z Warszawy, nadesłał nam w liście opis prostego sposobu wykonania taśm do filmów różnej szerokości.

Z normalnej taśmy filmowej należy usunąć emulsję. W tym celu wkładamy film na kilka minut do gorącej wody (50-60 st. C.), a następnie usuwamy z filmu emulsję niezbyt ostrym nożem, płuczemy i wycieramy. Poprzez dziurki wstęgi celuloidowej przewlekamy żyłkę styłonową używaną w wędkarstwie, o grubości 0,8 mm — jeśli żyłki użyjemy podwójnie, lub 0,5 mm, nawlekając na „okrętkę”, jak to wskazują rysunki.

W podobny sposób można wykonać taśmę do filmów 4,5 x 6 i 6 x 9 cm. W tym wypadku jednak należy dziurkaczem przebić w taśmie otworki o średnicy 1-1,5 w odstępach 3 mm.

„Na wykonanej w powyższy sposób taśmie — pisze nasz Czytelnik — pracuję już przeszło półtora roku, wywołując po kilka, a nawet czasem kilkanaście filmów miesięcznie”.

NOWOŚCI FOTOGRAFICZNE

Zakłady VEB Elektrotechnik w Eisenach wyprodukowały nowy typ małych żarówek błyskowych „F-19”. Żarówki te mimo małych rozmiarów dają silny błysk trwający 1/200 sek. Firma ta wypuściła na rynek również lampę dającą się zastosować do każdego aparatu, reflektor i uniwersalny uchwyt do wszystkich typów żarówek. W lampę wbudowana jest żaróweczka kontrolna (5,5 V — 0,07 A).

Firma VEB Beka-Werke w Dreźnie wypuściła na rynek aparat stereoskopowy „Belplasca” na taśmę 35 mm, dający jednocześnie dwa zdjęcia rozmiarów 24 x 30 mm, czyli 20-22 stereozdjęcia na normalnym odcinku taśmy (1,60 m). Aparat wyposażony jest w dwa obiektywy Tessar 1:3,5 o ogniskowej 37,5 mm oraz specjalną migawkę centralną o szybkościach od 1 do 1/200 sek i z nastawieniem na „B”.

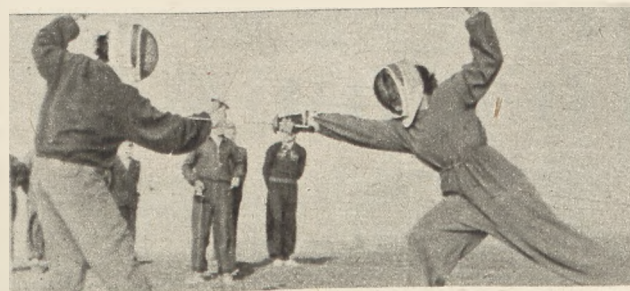
Do wyposażenia aparatu należy: zabezpieczenie przed podwójnym naświetleniem, celownik z automatycznym wyrównaniem dwuwłądu, urządzenie synchronizacyjne do żarówek błyskowych, uchwyt do odległościomierza i lampy błyskowej. Odejmwana tylna ścianka ułatwia zakładanie filmów. Sprężynę migawki napina się kciukiem lewej ręki, wyzwalacz migawki naciska palcem wskazującym ręki prawej. Wszystkie skale aparatu widoczne są z góry.



Hodowla jedwabników przy Państwowym Zakładzie Wychowawczym

BRAWO LZS ŚCINAWA!

LZS Ścinawa w pow. wrocławskim liczy 80 członków zrzeszonych w czterech sekcjach: lekkoatletycznej, pingpongowej, szermierczej i kolarskiej. Ostatnio do szermier-



Czapka z pięknym piórkim To z górniczej szkoły chłopcy idą na Barburkę.

Dzieci długo jeszcze wspominały tę wesołą zabawę i nie jedno z nich żałowało, że do ich przedszkola nie przyszedł na spotkanie prawdziwy górnik, który opowiedziałby im na pewno dużo ciekawego o sobie, o kopalni i o górniczym życiu.

Jerzy Rembiszewski Warszawa

SKANDAL W ZAKOPANEM

WNOCY z 21 na 22 listopada 1954 r., w willi „Roma”, siedzibie Państwowego Domu Dziecka w Zakopanem, wybuchł pożar. Wypadek co prawda nieszczęśliwy, ale nie kryjący sam w sobie jeszcze nic nadzwyczajnego. Zdarzają się takie rzeczy — iskra przedostała się przez jakąś szczelinę w kominie, zajęły się drewniany strych i o trzeciej w nocy budynek stanął w płomieniach. Całe tylko nieszczęście, że wewnątrz znajdowało się wówczas 40 dziewczynek, w wieku od 9 do 17 lat, w tym niestety większość najmłodszych. Można sobie wyobrazić panikę tych pierwszych chwil, gdy obudzone z głębokiego snu, przerażone trzaskaniem płonących desek, krztuszące się od dymu, musiały uciekać tylko w pidżamach, w ciemną mroźną noc (temperatura owego dnia wynosiła 15 stopni poniżej zera).

Akcja ratownicza przebiegła sprawnie: już w kilka minut po wybuchu pożaru zjawili się na miejscu oddziały straży pożarnej, wojska i milicji, która zabezpieczyła mienie. Ratownicy nie żalowali sił — chodziło przecież o dzieci pozostające pod opieką państwową. Wszystkie zostały uratowane. Nad ranem płomienie dogasały. I wtedy właśnie zaczęły się dzieła rzeczy osobliwe.

Do dzieci, zbitych w gromadkę na pogorzelisku, zmarzniętych i wystraszonych, pocieszająco krzyknęli strażacy:

— No dzieciaki, a teraz siadajcie na samochody i jedźcie na nowy dom. Szczęście, że wojsko przyjechało z samochodami...

Dzieci milczały, milczała również ich opiekunka Maria Mieszkowska, zdyszana i usmolona. Milczała pani Okręglakowa z Referatu Opieki nad Dzieckiem MRN.

Jechać? Ale dokąd?...

Była godzina 7 rano, poniedziałek 22 listopada.

Zakopane — jak wiemy — nie jest znowu tak wielkie, jednakże członkowie Prezydium MRN dowiedzieli się o wypadku dopiero... o godz. 8, w chwili rozpoczęcia urzędowania, choć dawno huczało już o pożarze w całym Zakopanem. Natknęli się w progu na panią Okręglakową, która płacząc prosiła o jak najszybsze przydzielenie nowej siedziby bezdomnym teraz dzieciom. Sezon w Zakopanem jeszcze się nie rozpoczął, kilkadziesiąt domów FWP i „Orbisu” stoi pustkami, sprawę można załatwić szybko.

— Zaraz, zaraz, powoli... — powiedzieli członkowie

Prezydium — trzeba najpierw zadzwonić do dyrektora FWP na Zakopane, czy wyrazi na to zgodę...

Zadzwoniono i dyrektor FWP, ob. Będkowski, nie wyraził zgody.

— Bez zezwolenia CRZZ, a zatem bez skomunikowania się z Warszawą, nic nie mogę zrobić...

— To my zajmiemy jakąś willę bez waszej zgody — powiedzieli nieśmiało członkowie Prezydium.

Bez zgody dyrektora FWP? Niech spróbują! Nie mają prawa.

Członkowie Prezydium nadrabiali miną, ale czuli swoją słabość wobec twardej postawy ob. Będkowskiego. Ze skrucą w sercu zasiedli do wertowania olbrzymich ksiąg: dzienników ustaw, okólników, przepisów i załączników. Chodziło mianowicie o ustalenie, czy istnieje podstawa prawna do zajęcia pustej willi dla pogorzelców.

— Ależ do diabła — mruzcili strażacy — niecn zajmują pierwszy dom z brzegu. Zawsze się tak robi, znaczy, że musi być takie prawo. A jak mogłoby być inaczej? Przecież dzieciaki tułają się gdzieś po ludziach, trochę wzięli sąsiedzi, a reszta łązi w pidżamach po Zakopanem.

Było to już południe, 22 listopada.

Zrozpaczona pani Okręglakowa biega po gmachu MRN... Prezydium nie znalazło odpowiedniego przepisu i wobec tego nie poważy się zająć „Koliby”, willi należącej do FWP, w pobliżu położonej, pustej i odpowiedniej co do rozmiarów. Prezydium poszło po rozum do głowy i wpadło na myśl, że przecież najbezpieczniej będzie zająć prywatną willę „Savoy”. Ale cóż, właścicielka „Savoyu” stawiała opór, tłumacząc się, że willa nie posiada pieców ani kuchni... Co robić?

Są to już godziny popołudniowe, dnia 22 listopada.

Nazajutrz rano sytuacja nie tylko się nie wyjaśniła, ale jeszcze bardziej skomplikowała. Właścicielka „Savoyu” dzieci nie wpuściła; milicjant zapytany, dlaczego nie wprowadził dzieci przymusowo, odpowiedział „poufnie”:

— Nie mogłem. Ta obywatelka ma jakieś znajomości w Warszawie.

— Jakże?

— A tego to ja nie wiem.

„Dzieci, rozproszone w różnych punktach miasta, czekały dalej na rozstrzygnięcie swoich losów. Nie-

które jeszcze tego dnia przyszyły do szkół w pidżamach. Okazało się przy tym, że pomniejsze instancje i instytucje potrafią dobrze naśladować biurokratyczny styl urzędowania MRN.

Opiekunka dzieci zwróciła się na przykład do zakopiańskiej spółdzielni dozorców z prośbą, aby zaopiekowano się ocalonym mieniem; milicja pilnowała rzeczy do pewnego czasu, ale dłużej nie może. Przedstawiciel spółdzielni „Dozór” w dłuższym przemówieniu wyraził ubolewanie, że niestety akcji tej podjąć nie jest w stanie. Nie chodzi oczywiście o cenę. Chodzi o to, że w myśl statutu spółdzielni podanie klienta musi wpłynąć na dwa dni wcześniej. Trudno, takie są przepisy!

I graty mokły dalej na śniegu, pozostawione na lasce losu.

Prezydium MRN postanowiło tymczasem na nowo podjąć pertraktacje z dyrektorem FWP. O tę „Kolibę”. Naruszono znowu spokój ob. Będkowskiego, wzywając go do telefonu. Pod naciskiem próśb dyrektora uległ i zgodził się przyjąć delegację MRN, u siebie, w willi „Krywań”.

„Petenci” perswadowali tak długo, że ob. Będkowski oświadczył, iż ustąpi, ale pod następującymi warunkami:

1) MRN podpisze zobowiązanie, że będzie płacić za każde dziecko taką sumę, jaką uiszcza każdy wczasowicz;

2) dzieci przebywać będą w „Kolibie” nie dłużej niż cztery dni, albowiem po tym terminie spodziewany jest przyjazd kilkunastu wczasowiczów;

3) kierownictwo Domu Dziecka nie będzie korzystać z telefonu, łazienki i piwnic.

Warunki były nie do przyjęcia, szczególnie ze względu na punkt drugi. Co bowiem zrobić z dziećmi po czterech dniach? Tłumaczono, że FWP rozporządza w Zakopanem w tej chwili 1800 miejscami i kilkunastu wczasowiczów będzie można ulokować gdzie indziej. Prośby, błagania i argumenty na nic się nie zdały. Pertraktacje zawiodły, rozbijając się o niewzruszoną postawę ob. Będkowskiego.

Mijało właśnie półtorej doby od chwili wybuchu pożaru i początków dziecięcej „Odysei”.

Nad wieczorem nastąpił niespodziewany zwrot w wypadkach. Rozeszła się po Zakopanem pogłoska, że pisarz Janusz Meissner wybiera się do Warszawy. Ktoś wyraził przypuszczenie, że Meissner napisze o tym wszystkim do warszawskiej prasy. Ktoś inny twierdził, że widział już nawet gotowy artykuł. Wtedy Prezydium MRN zdecydowało się na krok „ostateczny”. Wezwało ob. Będkowskiego i pod groźbą aresztowania kazało mu wydać klucze od „Koliby”.

Ob. Będkowski klucze wydał, uśmiechał się boleśnie (któż nie ustąpi przed siłą!), dzieci wreszcie znalazły schronienie. Zdobył się jednak jeszcze na „zemsztę z grobu”: zamknął telefon, łazienki i piwnice. Dopiero interwencja straży pożarnej zmusiła go do otwarcia telefonu, a specjalna komisja Rady Państwa spowodowała, że zniósł także i inne „ograniczenia”.

Tak to właśnie zakończyły się szamotania o nową siedzibę dla małych pogorzelców. MRN popisała się „szalonym tempem” urzędowania — albowiem „już” po upływie półtorej doby przezwyciężyła opory przedstawicieli FWP. A sam ob. Będkowski? Czy wyśmuchał słów prawdy od swoich zwierzchników w CRZZ? Tego, niestety, nie wiemy. Ale, być może, jeszcze coś o tym usłyszymy...

M. AZEMBSKI

CZŁOWIEK, który nabrał kiedyś zamiłowania do statystyki, chętnie będzie przykładal miarkę statystyka do najprzeróżniejszych zjawisk i problemów. W niniejszym wypadku uczyni to w stosunku do zagadnienia, któremu na imię: wychowawczy wpływ literatury na młodzież. Okazją zaś, która go do tego pobudziła, jest listopadowy numer miesięcznika „Literatura Radziecka”.

Numer ten jest ostatni przed rozpoczynającym się właśnie II Zjazdem Pisarzy Radzieckich i dlatego przynosi wiele materiałów przedjazdowych. Statystyka zainteresowała zestawienie na stronach 208—218, gdzie przytoczono dane o wydaniach dzieł literatury pięknej w ZSRR w latach 1918—1954.

Tabele mówią językiem liczb o gigantycznym rozmachu wydawniczym w Związku Radzieckim, o olbrzymim powodzeniu czołowych dzieł literatury radzieckiej i światowej. Ilustrują znakomicie jeden tylko odcinek epokowego zjawiska, które nazywamy rozkwitem radzieckiej kultury.

Ale nie to będzie przedmiotem niniejszych rozważań. Statystyk szuka w tej chwili odpowiedzi na pytanie: jak w Związku Radzieckim rozchodziły się tłumaczone z języków obcych książki, które zaliczymy do jednej wielkiej

STATYSTYKA I SOKOLE OKO

grupy: bajka - przygoda - fantazja naukowa.

Tabelki są umieszczone w porządku alfabetycznym i w tej też kolejności je przejrzymy. Na literę „A” — literatura angielska. Drugi w tabeli, za Dickensem, jest Herbert G. Wells. (Czytelników młodszego pokolenia informujemy — to autor szeregu powieści i opowiadań naukowo-fantastycznych, jak „Wehikuł czasu”, „Wojna światów” i inne). Dzieła Wellsa osiągnęły w ZSRR nakład około 3,5 miliona egzemplarzy. Czwarty na liście jest Daniel Defoe („Robinson”), piąty Jonathan Swift („Guliwer”), dziewiąty Robert L. Stevenson, dziesiąty Arthur Conan Doyle (informacja: twórca postaci Sherlocka Holmesa), którego wydano blisko milion egzemplarzy.

Przechodzimy do litery „D”. Na czele przekładów z duńskiego — Hans Chri-

stian Andersen: niemal siedem milionów egzemplarzy!

Z kolei tłumaczenia książek francuskich. Trzecie miejsce w tabeli zajmuje Juliusz Verne — blisko sześć milionów. Na liście autorów hiszpańskich figuruje jako pierwszy Cervantes. Opis przygód smutnego rycerza z Manchy osiągnął w ZSRR 1,22 miliona egzemplarzy. Wśród dzieł tłumaczonych z niemieckiego najwyższym nakładem legitymują się bracia Grimm — dziewięć i pół miliona.

Zbliżamy się do końca. Jeszcze literatura Stanów Zjednoczonych. Tu pierwsze miejsce zajmuje Jack London. Nakład jego dzieł — ponad 13 milionów — jest w ogóle najwyższy, jaki osiągnął pisarz obcy w Związku Radzieckim. Drugi w tabeli jest Mark Twain (informujemy: napisał on m. in. „Przygody Tomka Sawyer’a”), siódmy zaś Ja-

mes Fenimore Cooper (pamiętacie Sokole Oko?).

Wystarczy?

Oczywiście, że nie. Konieczne są w tym miejscu dwa niezmiennie istotne zastrzeżenia. Pierwsze: statystyka sama nie wnosi nigdy niezbitych prawd. Pomaga tylko (i to bardzo pomaga!) w uświadomieniu sobie pewnych rzeczy.

I drugie zastrzeżenie: statystyk ani myśli twierdzić, że książki fantastyczne i o przygodach są, względnie powinny być, podstawową lekturą młodzieży. Uważa tylko, że książki tego rodzaju winny stanowić konieczne uzupełnienie lektury młodych ludzi. Nonsensem byłoby twierdzić, że bez Londona i Wellsa młodzież radziecka nie zbudowałaby Komsomolska. Ale z dużym prawdopodobieństwem można przyjąć, że ich dzieła okazały się w tym zamierzeniu pomocne.

Wnioski? Łatwiej je będzie wyciągnąć, gdy nasze instytucje wydawnicze opublikują podobne zestawienia. Okazuje po temu znakomita — dziesięciolecie ruchu wydawniczego w Polsce Ludowej. Liczymy, że tego rodzaju zestawienia będą nam udostępnione. A wtedy — porozmawiamy obszerniej.

(E. K.)

DOM

Tu cisza twoich ramion,
przyćmione światło lampy,
Chopinowski medalion,
stary zegar z kurantem.

Zadna chwila nie kłamie
w cieple twojej ręki,
Wiatr za oknem przez zamieć
śpiewa nocne piosenki.

Mrok się tuli pod ścianą,
gwiazdy toną w żrenicach.
Moją miłość nad ranem
budzi śpiewem ulica.

Na codzienne rośnięcie
zegar dzwoni kuranty.
Dzień uciszył już zamieć,
cień słoneczny na lampie.

Na pożegnanie czoło
ustami leciutko dotknę.
Patrz miła, jak wesoło
uróbel ćwierka za oknem.

TWOJE OCZY

Wpatrzony w oczy, które jak gwiazdy
wzeszły nad moim krajobrazem,
przy których świetle trącam struny
poezji mojej instrumentów,
niebo maluję w kolor tuny,
po którym chmury, jak okręty
żeglują w zachodzące słońce;
pod konstelacją gwiazdozbiorem —
i to są właśnie oczy twoje.

A kiedy smutek mnie ogarnie,
widzę, wpatrzony w mrok, latarnie,
które mi wskażą jedną drogę,
niełatwą, ale upragnioną,
a której znaleźć sam nie mogłem,
bo obrócony w inną stronę
patrzyłem wzrokiem niewidzącym...
Te światła zapalone w nocy —
to dla mnie właśnie twoje oczy.

NOWE KSIĄŻKI

CIEKAWY WYDAWNICTWA WIEDZY POWSZECHNEJ
PRZEZ AFGANISTAN, PAKISTAN I INDIE — bogato
ilustrowana książka M. Dunina — to historia podróży
grupy radzieckich biologów na trasie 30 tysięcy kilometrów
przez Pamir, Hindukusz i Himalaje, przez ziemie
Afganistanu, Pakistanu i Indii. Żywo i barwnie opisuje
autor życie i obyczaje mieszkańców ziem, przez które
biegła trasa podróży.

OD PŁETWY REKINA DO REKI LUDZKIEJ — stano-
wi nową pozycję popularnego autora książek o zwierzę-
tach, dr. Jana Zabińskiego. Ładne ilustracje M. Walen-
tyńskich.

O CZARACH, ZNACHORACH I LECZNICTWIE — Ka-
zimir Ostrowski. W atrakcyjnej formie autor opisuje
historię medycyny i jej ostatnich osiągnięć. Na tle naj-
nowszych zdobyczy naukowych w tej dziedzinie —
Ostrowski w ostry, a zarazem dowcipny sposób rozprawia
się ze zwolennikami znachorstwa, „zamawian”, „czarów”,
wyznawcami pokutujących jeszcze tu i ówdzie bzdur-
nych wierzeń i zabobonów.

Właściwie książkę traktować można jako małą en-
cyklopedię medycyny, wyjaśniającą w przystępny sposób
budowę i czynności organizmu ludzkiego, genezę chorób
i naukowe sposoby ich zwalczania.

CO ZOBACZYMY NA PÓLKACH KSIĘGARNIKICH?

„Czytelnik” przygotowuje Jana Parandowskiego UTWO-
RY WYBRANE (tytuł tymczasowy). Będzie to obszerny
wybór utworów znanego pisarza. W skład tomu wejdą
m. in. dawno nie wydawane pozycje beletrystyczne, jak:
KRÓL ŻYCIA, NIEBO W PŁOMIENIACH, DWIE WIOS-
NY oraz szkice, esyże i opowiadania. Książka stanowi-
ć będzie niejako przegląd całokształtu twórczości autora —
mistrza stylu i języka.

Mieczysław Wallis — AUTOPORTRETY ARTYSTÓW.
Autor wydanej przez PIW książki „Canaletto — malarz
Warszawy” opracowuje obecnie książkę-album, która za-
wierzać będzie 200 autoportretów malarzy, rzeźbiar-
skich, graficznych i rysunkowych artystów polskich, oraz
cudzoziemców, którzy w naszym kraju tworzyli. „Auto-
portrety” obejmą okres od XII do XX wieku. W przygo-
towaniu jest również książka tegoż autora o znakomitym
architekcie i historyku sztuki — Stanisławie Noakowskim.

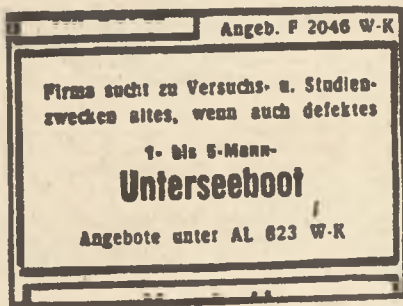
Autor kilku znanych już czytelnikowi polskiemu utwo-
rów o ziemi i ludzie kurpiowskim, Henryk Syska, pisze
obecnie nową książkę — pozostając wiernym dotychczas-
owej tematyce. Będą to tym razem 3 szkice ukazujące
„głodowe lata” — tak często nawiedzające przed wojną
ziemię kurpiowską, emigrację jej mieszkańców szukają-
cych chleba na obczyźnie, oraz historię krwawo stłumio-
nego buntu Kurpiów w roku 1924 przeciwko władzy bur-
żuazji, podczas którego chłopci zajęli miasto Kołno.

Autor pięknego poematu o warszawskiej Starówce p.t.
POWRÓT NA STARE MIASTO, Roman Kolonicki, pra-
cuje obecnie nad przekładem nieznanej u nas dotych-
czas książki wybitnego pisarza francuskiego z drugiej
połowy ub. stulecia, Jules Valles’a, p.t. ULICA W LON-
DYNIE. Utwór ten powstał podczas pobytu Valles’a w
Anglii, dokąd schronił się po ucieczce z ojczyzny w
związku ze swym udziałem w walkach Komuny Paryskiej.

Znakomity cykl powieściowy Valles’a zatytułowany
JAKUB VINGTRAS przyswoił naszej literaturze w okre-
sie międzywojennym Tadeusz Boy-Zeleński.

OGŁOSZENIA DROBNE

W dzienniku „Weser-Kurier“ (Brema, Niemcy
zachodnie):



„W celach doświadczalnych i badawczych firma
nabędzie starą, a nawet zniszczoną jedr- do pięcio-
osobową

ŁÓDŹ PODWODNA

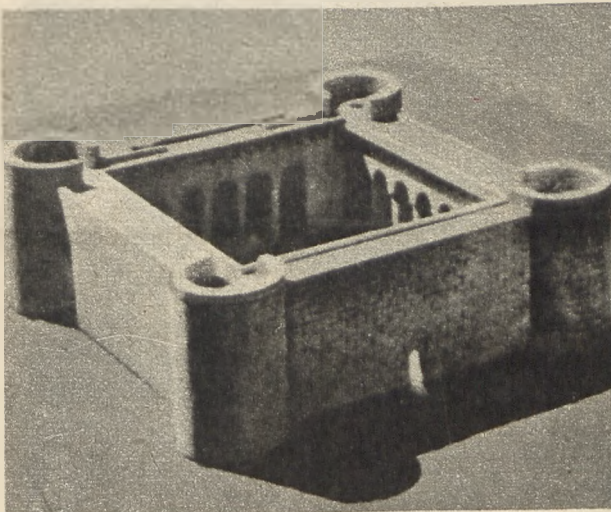
Oferty pod AL 823 W-K“

W dzienniku „Verdener Aller-Zeitung“ (Verden,
Niemcy zachodnie).



„Helmy stalowe kupujemy. Bartels, Brueckstrasse 10“

NA MIARĘ PIRAMID



Mauzoleum Rommla

Na Pustyni Libijskiej
w okolicach Tobruku ro-
bota wre. Pracują ma-
szyny, chmary robotni-
ków kopią, budują, mu-
rują pod nadzorem nie-
mieckich inżynierów i
majstrów. Czyżby wresz-
cie jakaś wielka inwesty-
cja, która nawodni pu-
stynne obszary?

Nic podobnego. W
Bonn postanowiono wy-
stawić Rommlowi i jego

„Afrikakorps“ wielki gro-
bowiec - mauzoleum. Z
Niemiec zachodnich pły-
ną pieniądze i materiały
budowlane. Budowa (któ-
rej makietę widać na
zdjęciu) ma być zakoń-
czona już za kilka mie-
sięcy.

Projektanci nadali bu-
dowli wygląd „regional-
ny” — przypominać bę-
dzie typowe kolonialne
wzrosty.



Praca wre na pustyni...

JEST ŹŁE — BĘDZIE GORZEJ

Tygodnik amerykański
„Newsweek” w nume-
rze z dn. 1 listopada 1954
roku snuje melancholijne
rozważania na temat po-
stępów nauk technicz-
nych w Związku Ra-
dzieckim i upadku tych
nauk w Stanach Zjed-
noczonych:

„Był ongiś czas, kiedy
wyszkolone mózgi ame-
rykańskie przodowały
bezkonkurencyjnie całe-
mu światu w dziedzinie
techniki. Dziś boleśnie
odczuwamy fakt, że to
kierownicze stanowisko
jest silnie zagrożone i to
nie tylko ze względu na
oczywiste sukcesy so-
wieckie w dziedzinie bro-
ni atomowej i samolo-
tów odrzutowych. Liczba
inżynierów, którzy ukoń-
czyli w roku bieżącym
studia w ZSRR — wy-
mowny wskaźnik wzro-
stu wiedzy technicznej
w danym kraju — prze-
wyższa dwa i pół raza
liczbę inżynierów, któ-
rzy ukończyli w tym ro-
ku studia w USA. Liczba
inżynierów w Rosji zbli-

ża się już do pół miliona,
tzn. dogania Stany Zjed-
noczone. Wkrótce zaś
przewyższy nas”.

Pismo widzi źródła te-
go zjawiska w lepszej or-
ganizacji szkolnictwa w
Związku Radzieckim i w
kryzysie szkolnym w
USA.

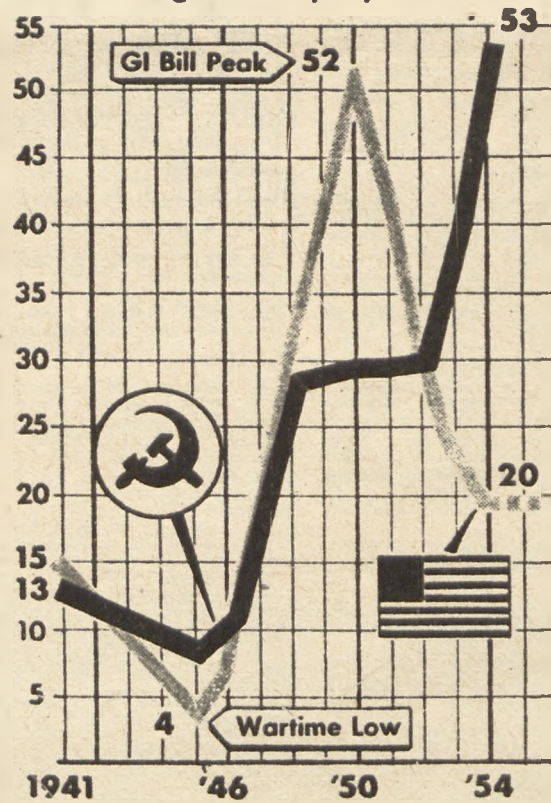
O szkolnictwie amery-
kańskim pisze:

„Jeśli sytuacja jest zła
dziś, to w najbliższych
latach stanie się wręcz
samobójcza. Liczba uczy-
niów w szkołach śred-
nich wzrasta gwałtownie
ze względu na rosnący
przyrost naturalny. Tym-
czasem liczba wykwalifi-
kowanych nauczycieli to-
pnieje. Od roku 1950
roczna wydajność ucze-
ni kształcących nauczy-
cieli spadła o 41,7 pro-
cent. Jeśli chodzi o nau-
czycieli matematyki, to
przysyła ich rocznie o
połowę mniej niż w ro-
ku 1950, a jeśli chodzi o
nauczycieli fizyki — o
56,3 procent mniej”.

Słowem — jest źle, a
będzie jeszcze gorzej.

The Race
for Brain Power

Figures in thousands of engineers
graduated per year



Wykres obrazujący silny wzrost liczby inżynierów
w ZSRR (czarna linia) i spadek w USA (jasna linia)
w 1941—1954, opublikowany w tygodniku „Newsweek”

WIELKIE ZALETY

General Mark Clark
tak scharakteryzował
przed komisją senatora
Jennera w Senacie USA
zalety żołnierzy armii po-
łudniowo - koreańskiej
(zwanej ROK — Republic
of Korea):

„Wojska ROK — to
uspaniała armia. Należy
ją rozbudować. Żołnierze

południowo - koreańscy
chętnie idą na śmierć... I
im więcej ich będzie, tym
taniej nas to wszystko
będzie kosztować”.

Idealne mięso armatnie:
tanie i chętnie głowę da-
je pod noż. Czy tylko
pan general aby nie
przesadza...

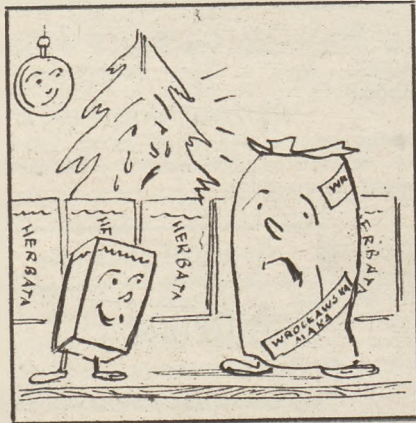
Co utrudnia prenumeratę?



Ty moja śliczna, ty moja zielona, ty moja pachnąca — pocieszałam ją jak umiałam najczulej, głaszcząc jej drżące z oburzenia gałazki. Ale to wcale nie łatwa rzecz ulagodzić gniew istoty pici żeńskiej, nawet gdy jest tylko zwykłą leśną choinką. — A potem powiedzą, że jestem w złym gatunku, że jestem stara i brzydka, że ledwo mnie wprowadzono do mieszkanka, a już się rozpływam i żółknę. Ty rozumiesz, co to znaczy dla... kobiety. Ach, Syrenko, czy nie mogliśmy ścisnąć dwa tygodnie później! W końcu listopada wyrwali mnie z lasu, a chcąc, żeby wytrwała do połowy stycznia w całej krasie iglastej młodości. Patrz, nikt mnie nie chce. Ty mnie też nie chcesz. Litujesz się nade mną, ale mnie nie kupisz, bo czekasz na tę, która przyjdzie później, świeża, mocna, pełna życia... O, gdyby drzewa umiały mówić, nauczyłyby rozumu niejednego człowieka. Przysuń się, powiem ci coś jeszcze na ucho. Będzie nas w Warszawie dwieście tysięcy. Rozumiesz, że wszystkie chcemy być strojne, śliczne, przydane odświętnie, jak panny młode. A wiesz ty, ile świeczek przydzielił no Warszawie? Czteryście tysięcy!!! Pomysł tyś jako — po dwie zaledwie na każdą z nas! A choinka bez świeczek, to jak kobieta bez uśmiechu. Patrz, ta mała choinka obok mnie to moja siostrzyczka. Od wczoraj płacze: „Nie starczy dla mnie liliputków, nie starczy dla mnie liliputków“. Dowiedziała się, że świeczek - liliputków nigdzie dostać nie można, tylko w jednej centrali na Nowym Świecie ludzie po nie w ogonku stoją. No to w parę dni wykupia. A przecież może się zdarzyć, że ona właśnie trafi do ludzi, którzy nie zdążyli... Byłam już przy bramie, gdy zawołała, abym jeszcze na chwilę wróciła. — Dzieciaki, które przyszły nas wczoraj oglądać, żaliły się, że w żadnym sklepie nie można dostać kolorowego glansowanego papieru. Nie mogą robić tańców, w których nam tak pięknie,

ani dzbanuszków, ani koszyczków. Dzieci jajka powymuchiwały, a teraz nie mają z czego robić zabawek. Pomóż im, Syrenko, jeszcze jest czas. A to przecież taka uciecha dla nich i dla nas. — Szłam sobie ulicą, przedświąteczną warszawską ulicą i myślałam o maleńkim słówku, któremu na imię „ale“. Ze też zawsze musi być jakieś „ale“. No bo tak mądrze urządziło MHD z tymi napisami, żeby każdy wiedział z góry, że tu i tu jest punkt sprzedaży choinek i jest tych punktów o 37 więcej niż w zeszłym roku, więc uniknie się tłoku, ale... Jak się chce zrobić za dobrze, to czasami też źle wypada. Choinka miała rację. — Te rozmyślenia przerwał mi czyjś głośny śmiech. W pierwszej chwili nie mogłam zrozumieć, kto się tak głośno i serdecznie śmieje. No jasne, to mąka „wrocławska“, którą przed chwilą kupiłam, opowiada coś z zapachem herbaty. — Mówię ci, aż pęczniał z wściekłości. „Po diabła mnie w magazynach trzymają — krzyczał — mieli mnie rzucić na rynek w pierwszych dniach grudnia, a tymczasem siedzę w zamknięciu, jak ten więzień!“ Gospodynie po sklepach pytają: „Jest mak, i słyszą w odpowiedzi: „Jest, ale jeszcze nie mamy“. A on tam leży, 50 ton, wyobraź sobie, i nie może się doprosić, żeby go na światło dzienne wypuszczono. — W tym roku to tylko śledziom się udało — zareplikowała herbata. Nikt przynajmniej nie narzeka, że ich nie ma. Ale wiesz, okropnie się denerwują, żeby nie było tak jak w zeszłym roku i dwa lata temu. Pamiętasz? Rzucono je do sklepów w ostatni dzień przed świętami, a potem się psuły, bo przecież żadna kobieta nie będzie czekała z zakupami do ostatniej chwili. Kupi drożej na targu, byle tylko mieć. — Uspokójcie się, moje miłe, z tym gadaniem, bo wchodzimy do sklepów — uciśnięta je. — Proszę pani, czy są kieliszki? (to było na Nowym Świecie). — Nie ma. — Proszę pani, czy są kieliszki? (to było na MDM). — Nie ma.

— Proszę pani, czy są kieliszki? (To było na Starym Mieście). — Nie ma. — A czy będą? — Może będą w przyszłym tygodniu, ale nie przyrzekam. Obiecał mi już kiedyś, że przyślą, a potem w skrzyni znalazłam raptem... cztery sztuki. — A szklanki ze spodkami są? — Też nie ma. — No to co robić? — Pić w fajansowych kubkach za pomocą Centralnego Zarządu Hurtu Artykułów Gospodarstwa Domowego — zarechotała z siatki butelka wina gronowego. — A mnie wcale nie do śmiechu — jęknęła herbata. — Nie lubię być pita w fajansowym kubku ani na codzień, ani tym bardziej od święta. Cały smak traci. — Nie narzekajcie, moje drogie. Tak czy owak i tak was wypijemy. Ale co ja mam biedna robić, kiedy nigdzie nie ma papieru do wykładania i ani rusz nie mogę rozpocząć przedświątecznych porządków? Wróciłyśmy do domu w niezbyt różowych humorach. No bo czy naprawdę zawsze musi być jakieś „ale“?



„W ostatnim numerze „Świata“ ukazała się notatka o prenumeracie pism w kioskach „Ruchu“. Ukazała się już ona poprzednio również w prasie codziennej. Pomysł i zarządzenie powitane zostało przez czytelników pism z radością i ulgą, że nareszcie skończą się wędrówki po kioskach, zebrani o sprzedanie poszukiwanego pisma, kończące się przeważnie nieotrzymaniem go. Lecz niestety jest to jeszcze jedno „uszcześliwienie“ ludzi, które nie może być w praktyce zrealizowane wobec nieprzemyślenia całej akcji. Obszedłem szereg kiosków „Ruchu“ i, niestety, nigdzie nie mogłem załatwić prenumeraty tygodników ani na kwartał, ani nawet na m-c styczeń — mimo iż chętnie załatwiłbym to dla własnego spokoju na cały rok 1955. A dlaczego? Otóż kioskarze tłumaczą to tym, że zezwolono im przeznaczyć na prenumeratę tylko 50% otrzymywanych stale pism. I tak np. gdy kioskarz otrzymuje 2 egz. „Fotografii“, to do prenumeraty przyjąć może tylko 1 (!) egz., „Dookoła Świata“ otrzymuje 5 egz. — do prenumeraty pozostają więc 2 egz., i tak jest z innymi pismami, nie wyłączając „Świata“. Prenumerata była więc praktycznie skończona w dniu 1.XII. — a przecież i w tym dniu trudno było załatwić prenumeratę — a cóż dopiero myśleć o terminie 25 bm! Reklamacje kioskarzy nie odnoszą skutku — więc prenumeratę nie przyjmują. Jeśli idzie natomiast o prenumerowanie poprzez listonoszów, jest to mało frapujące, gdyż otrzymują oni pisma z opóźnieniem („Świat“ dociera w najlepszym razie w poniedziałek, ale często we wtorek lub środę), a poza tym poczta skreśliła na 1955 r. szereg pozycji, które znów rzekomo można prenumerować w kioskach. Słowem, błędne koło. Zamiast ułatwienia — utrudnienia. Sądzę, że dopóki jeszcze czas, należałoby interweniować, gdzie należy, i spowodować, by kioski przyjmowały prenumeratę bez ograniczeń i by rozdzielnik stosować na zasadzie faktycznych prenumerat, a nie odwrotnie. Położyłoby to kres męczarniom czytelników“.

St. Orosz
Warszawa, Miedziana 4 m 24

SZACHY

PARTIA NR 135

grana w tegorocznych mistrzostwach Belgii

Obrona francuska

Białe: O'Kelly
Czarne: Gobert

1. e2—e4 e7—e6 2. d2—d4 d7—d5 3. Sb1—c3 d5:e4 4. Sc3:e4 Sb8—d7.

Czarne stosują tu obronny system Rubinsteina, który nie jest dziś jednak uznawany za pełnowartościowy. 5. Sg1—f3 Sg8—f6 6. Se4:f6+ Sd7:f6 7. Gc1—g5 Gf8—e7 8. Gf1—d3 b7—b6 9. Hd1—e2 Gc8—b7 10. 0—0 0—0 11. Wal—dl c7—c6?

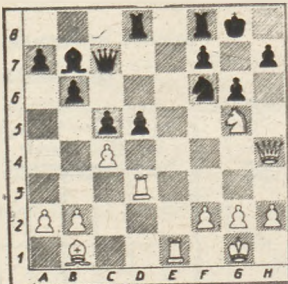
Czarne obierają niewłaściwy plan. W partii Pachman-Doerner (Hilversum 1947) nastąpiło 11... G:f3 12. H:f3 Hd5 13. H:d5 S:d5 14. Gd2. Wprawdzie białe 1 w tym przypadku uzyskały lepszą grę, ale przewaga była mniejsza niż po posunięciu w tekście.

12. c2—c4 Hd8—c7 13. Wf1—e1 Wa8—d8 14. Gd3—b1 Sf6—e8?

Lepsze było 14... Sh5 i np. 15. He4 g6. Teraz białe uzyskają groźny atak.

15. He2—e4 g7—g6 16. He4—h4 Ge7:g5 17. Sf3:g5 Se8—f6 18. Wd1—d3 c6—c5 19. d4—d5! e6:d5.

Lub 19... e5 20. Wf3 Kg7 21. W:f6 K:f6 22. —Se6+.



Pozycja po 19... e6:d5

20. Sg5:h7!! Sf6:h7 21. Wd3—h3 f7—f6.

Teraz widać po co było 19 posunięcie białych. Otwarcie linii „e“ uniemożliwia 21... f5, na co nastąpiłoby 22. We7.

22. Gb1:g6 Wd8—d7 23. Wh3—g3 Kg8—h8.

Jedyna obrona przeciw groźbie 24. G:h7+. Partii to jednak już nie ratuje.

24. Gg6:h7! Mimo wszystko białe biją skoczka!

24... Wd7:h7 25. Hh4:f6+!! Piękna pointa kombinacji!

25... Hc7—g7 26. Wg3:g7! Najprostsze.

26... Wf8:f6 27. Wg7:h7+ Kh8:h7 28. We1—e7+ Kh7—g6 29. We7:b7 d5:c4 30. Kgl—f1.

Po 30. W:a7 Wd6 31. Kf1 Wd2 czarne miałyby pewne kontrszanse.

30... Wf6—d6 31. Kf1—e2 a7—a6 32. a2—a4 i czarne poddały się.



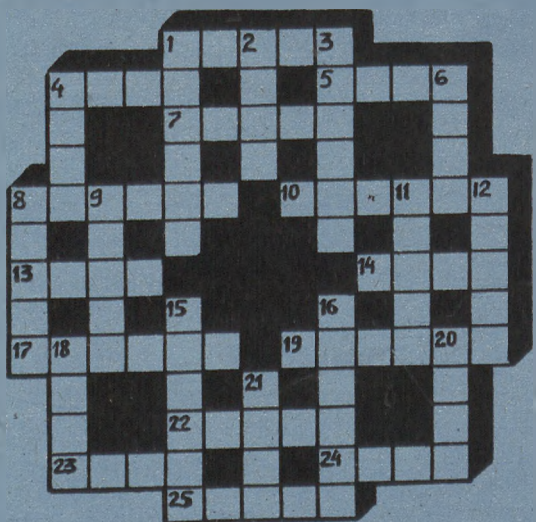
ZDROWE JAK RYBKĄ
BO DOBRA ZASYPKA

ROZRYWKI UMYSŁOWE

KRZYŻÓWKA

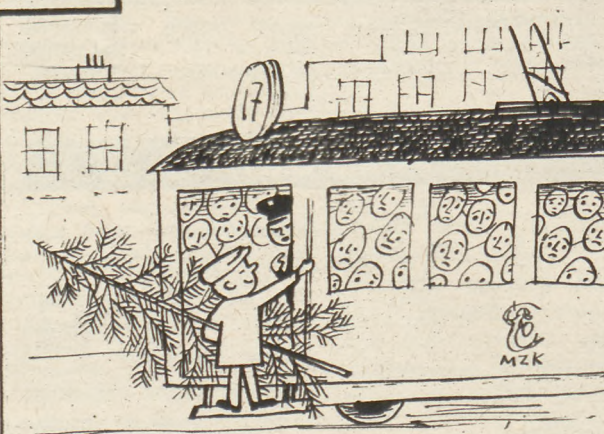
Poziomo: 1) Tytuł opery Rubinsteina, 4) Kolor w kartach, 5) Jeden ze składników powietrza, 7) Jeden z przywódców rewolucji francuskiej, 8) Zalew morski, 10) Poczta, 11) Bohaterka utworu J. Słowackiego, 14) Epokowy wynalazek XV w., 17) Dowódca kozacki, 19) Odbývá się przed wykonaniem zadania, 22) Budynek wiejski, 23) Ostrzeżenie wyznaczków, 24) Niedługo wyższy dostojnik w Wenecji i Ge-

nui, 25) Tytuł opery Moniuszki. Pionowo: 1) Gra towarzyska, 2) Koń morski, 3) Przyroda, 4) Pięć tuzinów, 6) Zapora wodna, 8) Wybitny poeta hiszpański, 9) Gospodarz góralski, 11) Bywa na niebie przed wschodem lub po zachodzie słońca, 12) Marionetka, 15) Warkocz noszony kiedyś przez mężczyzn, 16) Fronton, 18) Jest na kole zębatym, 20) Dzień i noc, 21) Więzień zwycięzca (J. Kłosowicz Częstochowa)



Termin nadsyłania rozwiązań 10-dniowy. Za prawidłowe rozwiązania rozlosowane zostaną nagrody książkowe.

LENGREN



— Nie stać na stopniach, do środka wozu!

SWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY
Redaguje komitet

Wydawca: R.S.W. „PRASA“

Redakcja: Warszawa, Nowy Świat 58. Telefony: Red. Naczelny: 6-41-64. Centrala 6-41-02, 6-41-23. Administracja: Warszawa, Wileńska 12, tel. 8-24-11. Prenumerata miesięczna zł 4,80, kwartalna zł 14,40, półroczna zł 28,80, roczna zł 57,60.

Informacji w sprawie prenumeraty opłacanej w kraju ze zleceniem wysyłki za granicę udziela oraz zamówienia przyjmuje Oddział Wydawnictw Zagranicznych PPK „Ruch“ Sekcja Eksportu — Warszawa, Aleje Jerozolimskie 119, tel. 805-05.

Zakłady Wkłóśnodrukowe i Introligatorskie RSW „Prasa“ Warszawa, Okopowa 58/72.

Zam. Nr 722. Papier rotogr. V/80—82 cm — 5-B-152103 podpisano do druku 15.12.54 r.



DOBRE NOWINY

DOBRE nowiny — na razie przeznaczone są dla warszawianek, ale nie ulega wątpliwości, że rozprzestrzenia się dalej. Czy wiecie, jaką rolę spełniają rekordziści i zasłużeni mistrzowie sportu — wśród tysięcy młodzieży uprawiającej sport? Podciągają poziom ogółu. Świetny wynik jest bodźcem do dalszej, owocnej pracy dla ludzi o słabszych wynikach.

Zapytacie — no dobrze, ale co to ma wspólnego z fotografiami, które oglądamy na tej kolumnie? Co mają wspólnego wyniki sportowe z uczesaniem kobiet? Mają i to wiele. Ale nie wierzcie, to posłuchajcie: Sek-

cja Fryzjerów przy Cechu Rzemiosł Różnych zorganizowała pokazy uczesań. Pokazy tych uczesań, przy których pracują najbardziej doświadczeni i cieszący się wielkim zaufaniem klientek — fryzjerzy — mają cel trojaki: Po pierwsze — nauczyć młodszych kolegów nowych metod pracy, bo dla nich właśnie przeznaczone są pokazy (i trzeba powiedzieć niezwykle tłumnie odwiedza je brać fryzjerska!). Po drugie — znieść uprzywilejowanie centrum miasta, w którym zbiegiem okoliczności zgrupowało się grono „asów” czesania. Targówek, Wola, Praga czy daleki Mokotów —



PIĘCIORO PRZYKAZAŃ LUDZKICH

- 1) PAMIĘTAJ O FRYZURZE NIE TYLKO, GDY WYBIERASZ SIĘ DO TEATRU CZY Z WIZYTĄ — ALE RÓWNIEŻ, GDY SPĘDZASZ POPOŁUDNIE SAM NA SAM Z RODZONYM MĘŻEM.
- 2) STAN TWOJEJ SZCZOTKI I GRZEBIENIA ŚWIADCZY O TOBIE.
- 3) PAMIĘTAJ, ŻE STAROMODNY OBYCZAJ OFIAROWYWANIA WŁOSÓW NA PAMIĄTKĘ NIE MA NIC WSPÓLNEGO ZE ZNAJADOWANIEM TWOICH WŁOSÓW W ZUPIE.
- 4) NIECH TWOJE UCZESANIE NIE PODNOSI RESZTEK WŁOSÓW NA GŁOWIE TWOJEGO MĘŻA.
- 5) FOTEL FRYZJERSKI — TO NIE KONFESJONAL. JEŚLI JUŻ MUSISZ SIĘ ZWIERZĄĆ TO CZY KONIECZNIE NA FOTELU FRYZJERSKIM?

mają mieć ten sam poziom fryzjerstwa co centralne zakłady. A po trzecie — stworzyć takie odmiany nowoczesnych i modnych fryzur, w których będzie najładniej kobietom.

Przyznacie, że plany ambitne i że wszystkie musimy im przyklasnąć z zadowoleniem. Te ambitne plany warszawskich fryzjerów idą jeszcze dalej: znaleźć uczesania odpowiednie dla rodzajów pracy kobiet. Na przykład: takie ostrzyżenie włosów, które najlepiej wygląda przy czapce kolejarzkiej, tramwajarskiej, czy milicjantki. Uczesanie do biura, uczesanie dla kelnerki (żeby

włosy nie zwisały, a wyglądały ładnie pod czepkiem czy przewiązaniem), uczesanie dla pielęgniarki, praktyczne i ładne uczesanie dla przeciętnej pracującej, która nie ma czasu na częste odwiedzanie fryzjera.. Pole do pomysłów szerokie, pole do wdzięczności kobiecej — jeszcze szersze...

Zamieszczamy dzisiaj fotografie z pierwszych trzech pokazów. Już jest na co patrzeć, prawda?

A w imieniu Czytelniczek i własnym, pięknie dziękuję Warszawskiej Sekcji Fryzjerów za godną pochwałę inicjatywę.

Anna Ziobrowska



Zdjęcia: J. SCHIFF

z pamiętnika

»mana



historia ilustrowana

Napisał: TADEUSZ POLANOWSKI

Rysował: KAROL FERSTER



Utwierdzałem nowy ład,
Lecz, nie z mojej winy, padł.



Wtedy ja czym prędzej — chodu!
Byle bliżej być Zachodu...



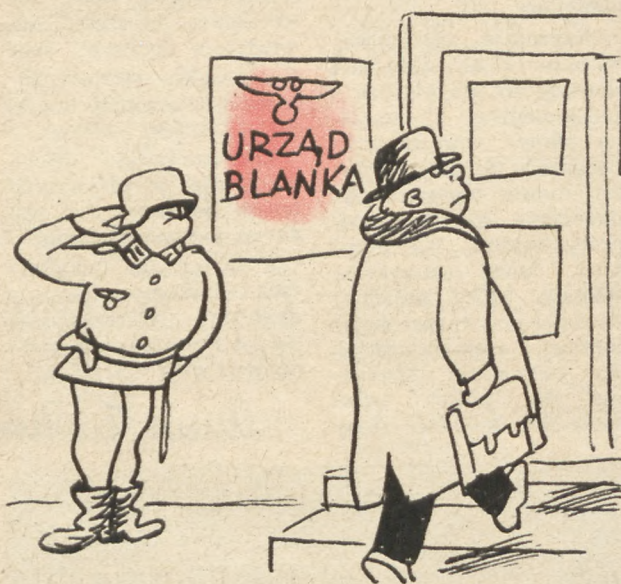
Tam pod klucz mnie jednak wzięli.
Sporo człek wycierpiał w celi!



Aż wiatr przychylniejszy powiał:
Urlop dali mi — dla zdrowia.



Kiedy zdrowie człek odzyska,
Znajdą się i stanowiska!



Wszystko idzie już jak z płatka:
W Bonn rządowa jest posadka.



Jak za dawnych dobrych lat,
Planujemy nowy ład.



Lecz z Marianną dojsć do ładu
— Rzecz to trudna. Nie z układu.

